ŚWIAT KOBIECY
REKORD

ROK 1925
Nr. 2
CENA ZŁ. 1.50.





ROK V 20 STYCZNIA 1925 NUMER 2

Z Krainy Mody



KARNAWAŁ

Oczekiwany i upragniony przez rozmarzone główki, przez nóżki i nogi, chcące tańczyć, przez oczy, chciwe widoku pięknych toalet, pięknych kobiet, przez oczy, łaknące flirtu, przez osoby, żyjące najbujniej w gorącej a płytkiej atmosferze balowej — nadszedł wreszcie książę Karnawał, wiodąc korowód tańców starych i nowych, danserek i danserów młodych i... odmłodzonych, sukien cudnych jak kwiaty wiosenne, kostjumów różnokolorowych i masek tajemniczych.

Tych kilka tygodni służy zabawie. I słusznie! Trzeba choć raz do roku porzucić czarne troski i zapomnieć na przeciąg nocy jednej o szarzyźnie dnia jutrzejszego. Bawić się! Bawić się i tańczyć do upadłego!

Paryż zapowiedział na bale i wieczory istną orgję materjałów lśniących, barwnych, bogatych i... drogich, a bardzo niepraktycznych. Cóż bowiem warta jest suknia z lamy, zahaftowana ręcznie jedwabiami i perełkami, przybrana bogactwem piór strusich? Takie obcisłe *fourreau* po jednym razie, często po pierwszym tańcu, jest do niczego, a pióra kosztowne porwane na strzępy smutnie świadczą o zmyśle praktycznym swych właścicie-



›be en marocain noir broderie lame ›r et guirlande de fleurs en soie

Suknia z marocain czarnego, haft ze złotych paljetek, girlanda kwiatów z jedwabiu





Robe au soir en lamé rose argent plumes rose dégradées motif strase

ıknia wieczorowa z srebrno-złotej lamy, pióra strusie różowe, motyw ze strasu
(Model Firmy Male Doucas, Paryż)

Robe du soir en panne abricot perlée or et argent

Suknia wieczorowa z „panne" koloru morelowego, ozdobiona perełkami srebrnemi i złotemi
(Model Firmy Bechoff, Paryż)

łek. To też w Paryżu samym nie spotka się Francuzki tak ubranej. Te mody, szalenie kosztowne a niepraktyczne, robione są „na eksport“. Kupują je miljarderki, córy „Wuja Sama“, księżniczki dolarów, albo też bogaczki, sypiące funtami szterlingów. Francuzki zrozumiały niebezpieczeństwo, grożące ich ojczyźnie z powodu spadku franka i wzięły do serca rzucone hasło oszczędności. Stosując się do niego, nie noszą sukien tegorocznych, ale korzystają z zeszłorocznych, które bardzo łatwo przerobić. Farbowanie jest na porządku dziennym. Dlatego, zamiast modeli z lamy, brokatów, *panne* (nb. najmodniejszego obecnie materjału na suknie wieczorowe) i koronek, zamiast drogich i niepraktycznych nowych gatunków krep rozmaitych, noszą z wdziękiem niesłychanym suknie z *crêpe de Chine,* przemiłej tkaniny, lśniącej i miękkiej, a dającej się prać i przefasonowywać bez końca.



„Świat Kobiecy“ otrzymuje wprawdzie od korespondentek swych z Paryża najświeższe wiadomości o ruchu mody, poparte ilustracjami toalet najwybitniejszych firm krawieckich, i dzieli się niemi z Czytelniczkami swojemi, ale podaje również i modele strojów balowych pięknych a praktycznych, nie nadwerężających budżetu domowego, który dziś z konieczności wszędzie jest skromny.

Bawić się można, bawić się trzeba, jak rzekliśmy wyżej, ale nie wypada nawet Polkom „wysadzać się“ na toalety zbytkowne.

Słyszeliśmy, że karnawał bieżący będzie obfity w wieczorki i zabawy domowe — tam panuje jeszcze prostota



i niema wielkich wymagań. Tam też kobieta najlepiej pokazać może swój gust i upodobanie estetyczne.

Z nowości Mody zanotować musimy coraz większe powodzenie ciemnych chusteczek do nosa. Jedynie na bal bierze się kwadrat białego *linon*, obszyty cienką koronką.

Pantofelki wieczorowe najmodniejsze są z jedwabiu lub brokatu w kolorze sukni. Paryżanki (jeżdżące autem) nawet na ulicę ubierają się w trzewiczki jedwabne. U nas, naturalnie, jest to niemożebne!

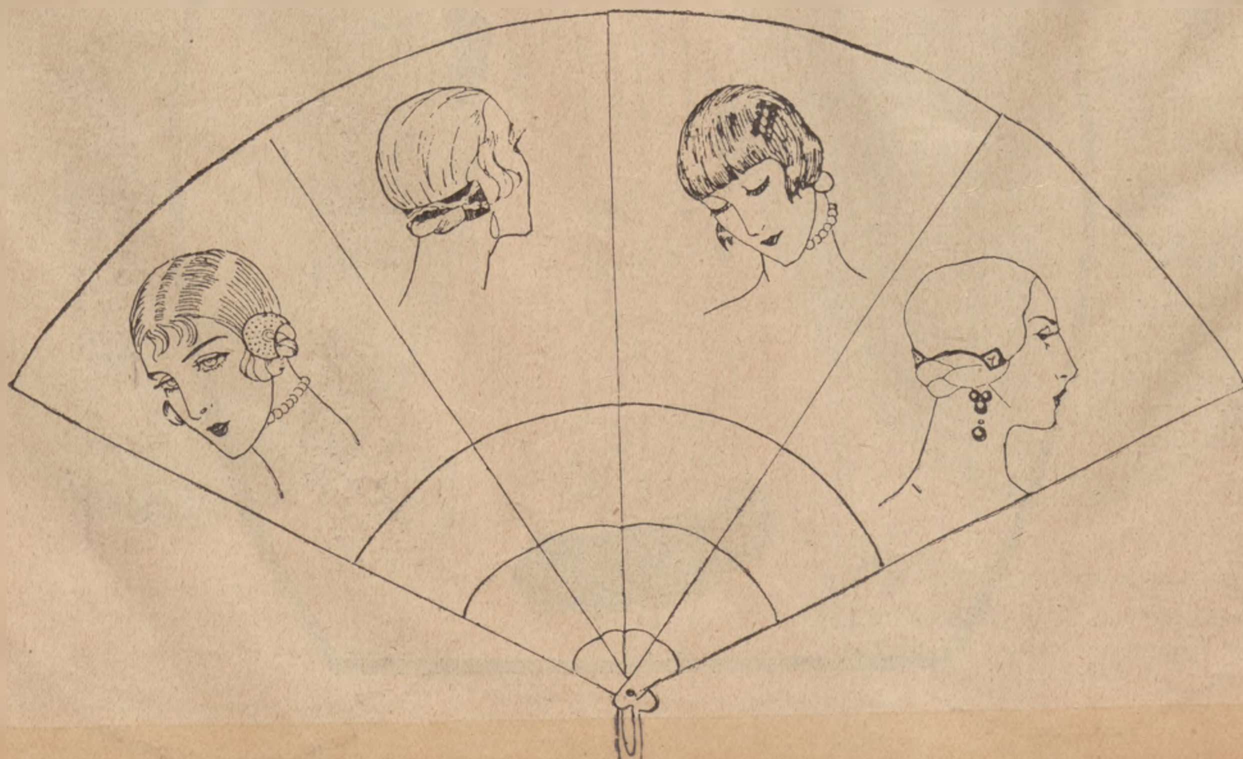
Zauważyć również należy przemijającą modę noszenia krótkich włosów. Czyż może być inaczej od chwili, gdy nietylko fertyczne pokojówki, ale nawet czerwone pękate kucharki i stare *konsierżki* zaczęły też nosić krótkie włosy? Zbanalizowały się więc, spowszedniały okropnie i Moda patrzeć już na nie nie może... Na bal wszystkie „krótkowłose“ przypinają sobie fałszywe koki i węzły i ubierają zeszpecone główki w djademy, perły i pióra.



Pozatem nadal obowiązuje suknia bardzo kusa, bardzo „podkasana“! U góry ramiączka, u doły kobiety nie mogące pokazać swych odnóży (i, wcale nie ze względów skromności!) przedłużają suknię falbaną, futrem, piórami lub przez dodanie długich *godets* z boku lub długiego trenu z tyłu.

Jako ozdobę (?) szyi wymienić należy modne paciorki srebrne i stalowe, wielkości orzecha.

Jana









MARJA BOCHDANÓWNA

SZKICE Z ALGIERU

Czy może być coś bardziej charakterystycznego, jak pierwsza chwila wjazdu do jakiegokolwiek wschodniego portu? Zgiełk niedoopisania, urywane gardłowe dźwięki nieznanej mowy, rój wyciągniętych, brunatnych rąk, chwytających przemocą kuferki, różnojęzyczne przekleństwa, radosne powitania.

Schodzę z parowca po stromych schodkach, ogłuszona nieludzkim wrzaskiem, ścigając rozpaczliwie umykający z przed oczu kuferek, niesiony na głowie smukłego Araba.

Potrącana tłumem, wydostaję się z radością na pustą przestrzeń i, uwolniwszy się wreszcie od całego stada rozpaczliwie żebrzących dzieci, wsiadam do auta, które zawiezie mnie do miasta.

A więc to Algier! Ów bajeczny, cudny Algier!

Wznosi się terasami ku górze, a droga wiedzie nas prawie stromo, wśród palmowych ogrodów z drzemiącemi wśród nich pałacami, aż tam, gdzie błyszczy w słońcu biała iglica potężnej kolumny Voirol.

Europejska część miasta. Mały Paryż z bajecznemi wystawami bogatych sklepów, z barwnym tłumem, sunącym chodnikami, gdzie mieszają się razem postacie w zawojach i fezach, z szablonową elegancją Europejczyków.

Tu skwer jakiś, ogród pełen palm, jukk, kwiatów, w pośrodku muzyka wojskowa w czerwonych fezach, tłum Anglików, kolorowych tubylców, kobiet ubranych biało z oczami połyskującemi z pod kwefów, — snują się powoli w beztroskiem lenistwie Południa.

Auto przyśpiesza biegu. Powietrze łagodne, przesycone wonią jaśminów, zda się tak lekkie, że prawie nie istnieje, upaja przecież jak haszysz.

Rue d'Isly — główna arterja nowego miasta.

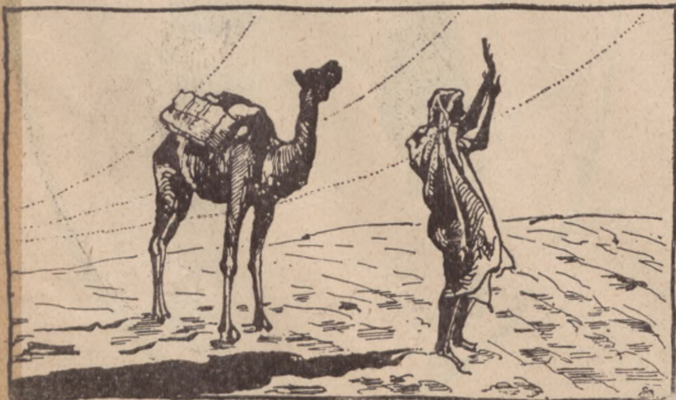
Przechodzą śpiesznie strojne damy, o pięknie malowanych twarzach; gdzieś z eleganckich kawiarni dolata refren jakiejś frazy muzycznej; gardłowe dźwięki mowy arabskiej mieszają się z językami całego nieomal świata.

Tam, na prawo, poczta w maurytańskim stylu. A teraz, minąwszy nowy gmach uniwersytetu, znajdujemy się w najwspanialszej dzielnicy „Mustapha Supérieur".

Niema kamienic. Tysiące will, rozrzuconych w przepychu podzwrotnikowej roślinności, monumentalne pałace-hotele w ogrodach palm, drzew pomarańczowych, araukarji, srebrnych cedrów atlantyckich, poniżej zaś błękit morza Śródziemnego, z siniejącym w oddali Cap Matifon.

Jesteśmy bardzo wysoko. U naszych stóp marmurowo-biały Algier ze śnieżnemi kostkami domów maurytańskich, na szmaragdowem wzgórzu.

Błyszczą w słońcu olśniewającą bielą strzeliste minarety. Woddali rysuje się wyraźnie łańcuch gór Atlasu z płatami pól śniegowych. Sen to, czy rzeczywistość?



Budzę się poprostu z chwilowego olśnienia, gdy auto staje przed wykwintnym hotelem „Beau Séjour". Jestem na miejscu.

Usłużny „boy" hotelowy porywa moje kuferki i za chwilę znajduję się w przeznaczonym mi pokoju. Ogromne oszklone drzwi prowadzą na olbrzymią terasę, z której roztacza się jeden z najwspanialszych widoków świata.

Z rozkoszą odświeżam znużone członki ożywczą kąpielą, aby po krótkim odpoczynku przebrać się do obiadu, który spożywam w restauracji przy wykwintnym table d'hôte.

Po deserze wychodzę na terasę, aby spojrzeć na uśpione miasto.

Powietrze aksamitne, miękkie, jak płatki lilji, przesycone wiosną.

Pachną glicynje, kwiat pomarańczy i bzy rozkwitłe.

Usypia biały Algier o płaskich dachach, rozsiadły na zielonem wzgórzu.

Milkną fujarki, żałosne zawodzenia i pieśni o płomiennej miłości.

Ucichły meczety, usnęły smukłe palmy, żałosne cyprysy i zgiełkliwy port.

Nad śnieżnemi szczytami Atlasu wisi w przestrzeni wielka, czerwona kula księżyca.

— — — — — — — — — — — — — —

Budzę się nazajutrz bardzo wcześnie...

Za oknem słońce, błękit, niemal upał.

Gdy pomyślę, że tam daleko w Polsce gdzieś dobrze jeszcze śnieg prószy, lub mży w tej chwili uporczywy, marcowy deszczyk...

Wychodzę z hotelu.

Pnę się teraz krętą drogą wśród palm, kaktusów, sadów, osypanych kwieciem, białych willi tonących w powodzi glycynji i róż, aż tam na wzgórze, skąd ogarniam wzrokiem białe miasto, port, turkusowe morze i tam na prawo, pozębioną linję gór.

Patrzę i patrzę, oczarowana, opita poprostu słońcem, aby wreszcie przedpotopowym tramwajem spuścić się na dół, do miasta.

Naprzód zatrzymuję się na hałaśliwym „Place de Gouvernement" — rendez-vous wszystkich chyba narodów i szczepów, zamieszkałych nad morzem Śródziemnem.

Włosi, Muzułmanie, opaleni rybacy, górale kabylscy, dostojni szeikowie, Europejczycy, amerykańscy turyści. Gwar i ruch niedoopisania.

Z jednej strony, wspaniała perspektywa na morze, po bokach, pod arkadami sklepy i rojne kawiarnie, a w głębi placu baśniowy meczet Djama-el-Djedid z koronkowym, śnieżnym minaretem, wznoszącym się strzeliście w ciemnobłękitne niebo.

Skręcam teraz w starą ulicę Marynarki, gdzie podziwiam drugi meczet Djama-Kebira z precyzyjnie cyzelowaną fontanną na dziedzińcu.

Napada mnie cały rój arabskich przewodników, ofiarujących natrętnie swoją pomoc.

Wybieram najbardziej wymownego i śpieszymy razem na Kasbah.

Nie zapomnę nigdy tego niesamowitego wrażenia, jakie zrobiło na mnie to po raz pierwszy widziane stare, arabskie miasto. Strome, kręte uliczki, wąskie na dwie osoby, biegną zygzakowato pod rzeźbionemi sklepieniami. Chwilami są tak ciemne, iż idzie się prawie poomacku. Na drzwiach zamkniętych domów widnieje rysunek ręki, zrobiony kredą. To ręka Fatmy, córki Mahometa, znak,

który zapewnia mieszkańcom spokój i szczęście. Po kamiennych schodkach snuje się nieprzerwanie barwny tłum. Spieszą tajemniczo-białe Arabki, spoglądające na nas ciekawie płomiennemi oczami, bije się i pędzi wrzaskliwie stadko brunatnych dzieci, w długich, białych gaudurac z fezami na głowach, strwożone małe dziewczynki przystają pod murami, patrząc nam w twarze z niedającym się opisać zainteresowaniem. I one mają już czoła i nagie ramiona tatuowane w przeróżne esy-floresy, a paznogcie malowane henną.

Na matach przed sklepami siedzą w kuczki mężczyźni, zapraszając do ponurego wnętrza, gdzie mienią się w półmroku wzorzyste hafty i złote, artystycznie cyzelowane cacka.

Na uboższych uliczkach mniej złotników, ale za to więcej handlarzy żywnością. Tu milczący przekupień wymierza klientce ćwiartkę mięsa, przybranego jaśminem, tam drze się wniebogłosy młody chłopak, roznoszący po mieście małe, ociekające podejrzanym tłuszczem ciasta i smażone ryby.

Stada osiołków pną się odważnie po karkołomnych uliczkach, poganiane energicznie świszczącym nahajem. Kurz, pisk, zamęt, ale nie wyprowadza to bynajmniej z równowagi flegmatycznych „sidi", siedzących dostojnie nad dymiącą filiżanką mokki, w arabskich kawiarniach. Grają uroczyście w szachy lub palą narghile, siedząc godzinami całemi, wciąż w tej samej pozycji.

Stara, kamienna Kasbah, odwieczne miasto korsarzy, zawojowana dziś i ujarzmiona przez Francuzów!

Wchodzę z moim „guidem" do jednego z najwspanialszych arabskich domów, przerobionego dziś na narodową bibljotekę. Nie wiem, czy może być coś piękniejszego nad jej wewnętrzny dziedziniec otoczony strzelistemi kolumnami z bajeczną mozajką posadzki, z marmurowemi schodami i rzeźbioną artystycznie fontanną w pośrodku.

Teraz prowadzi mnie mój uprzejmy Mohammet-ben-ali na malutki cmentarzyk, znajdujący się wśród domów. W środku drzewo figowe, obwieszone szmatkami, które Arabowie zawiązują na gałęziach, chcąc odegnać choroby. Dwie marmurowe kolumienki znaczą miejsce wiecznego spoczynku młodych i pięknych księżniczek, umarłych przedwcześnie. Na marmurze napis: „M'Tissa, córka Hassan Paszy i Fatmah bent Hassan Bey. Niech Bóg będzie im miłosierny, jako jest dla wszystkich muzułmanów".

Idziemy dalej.

Oto mijamy meczet Sidi-Rhamdan o dziewięciu dachach i o osiemnastu kolumnach, a teraz Sidi-Abderrhaman, ze szczątkami natchnionego wyznawcy Proroka.

Teraz wydostajemy się szerszą ulicą na szczyt wzgórza, gdzie wznoszą się w niebo potężne mury zamku Kasbah, obronna siedziba Ali-Khodji.

U naszych stóp spływa ku zatoce arabskie miasto, z domami o płaskich dachach, skupionych blisko przy sobie. Błyszczą w słońcu olśniewającą bielą smukłe minarety, a tam woddali niezmierzony ogrom błękitnego morza.

Za nami zamek z szeregiem sal, z rzeźbionemi kolumnami. Baśń z tysiąca i jednej nocy, ucieleśniona w białym kamieniu.

Kasbah! Przez tyle wieków niezdobyta forteca, gniazdo obronne rozbójniczych władców, okrutnych i nienasyconych, lubujących się w przepychu.

— — — — — — — — — — — — — —

Leniwa siesta na kamiennej terasie.

Zbudzone echa niedawnej przeszłości, marzenia!...

Odchodzę z niechęcią, ociężała słońcem, aby powrócić na obiad do europejskiej części Algieru.

Krótki odpoczynek, czarna kawa, papieros.

Czeka już przed drzwiami sportowe torpedo jednego z moich uprzejmych algierskich „cicerone".

Wsiadamy więc pośpiesznie i dalej w drogę.

Biała droga wiedzie nas wzdłuż wybrzeża, na które wściekłe fale biją bezustannie, aż tam, gdzie wznosi się na szczycie góry potężna bazylika Notre-Dame d'Afrique.

Mijamy Algier.

Oto obszerna ulica Bab-el-Oned z zakładami kąpielowemi, które wyglądają jak gniazda, przylepione do skalistego brzegu.

Hałaśliwe tramwaje i ciche, tajemnicze wille z malowanemi na biało szybami okien frontowych. Z poza zębatych płaskich dachów tryskają w niebo smukłe palmy.

Zapada mrok.

Auto nasze wjeżdża teraz w istny labirynt pnących się uliczek, aby wreszcie dopaść wspaniałej serpentyny, wiodącej na szczyt.

Co za bajeczny, niezrównany widok na całą zatokę.

Gwałtowne zakręty, następujące raz po raz, ścinają poprostu krew w żyłach... Zda się, że lada chwila auto nasze runie w przepastną głębię, gdzie pienią się wściekłe fale.

Z poza gałęzi rozłożystych cedrów przeświecają srebrne błyski usypiającej wody.

Zmęczona maszyna pracuje z natężeniem.

Dojeżdżamy do szczytu.

Ogromna platforma, na której wznosi się bizantyńska świątynia z żółtego kamienia.

Na szczycie kopuły czarna Madonna, błogosławiąca płynącym statkom.

Jak tamta — w Marsylji.

Szary, kamienny krzyż, na cześć tych, którzy przepadli w morskich wyprawach.

Parę smukłych palm, parę eukaliptusów czernieje w zmroku. Stok wzgórza pokryty cmentarzem. Sąsiadują w zupełnej zgodzie chrześcijańskie krzyże z białemi obeliskami.

Wieczorna, nieuchwytnie smutna godzina.

Gdzieś z jakiegoś arabskiego dachu nadpływa rzewna melodja, osnuta na jednym motywie.

Skarży się piszczałka, płacze cicho w mrokach nocnych.

Wschodzi księżyc. Granatowa roztocz morska osrebrza się nagle i złoci.

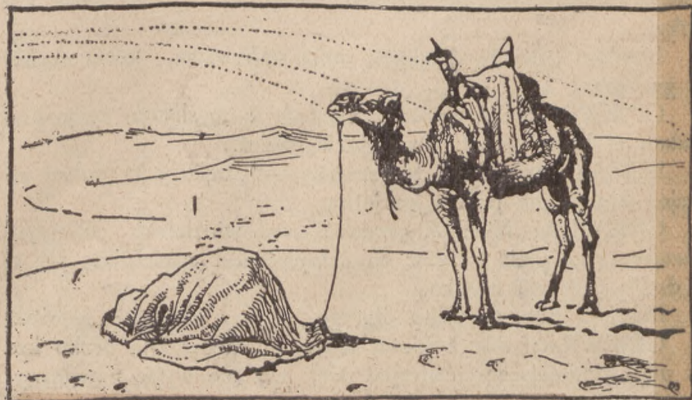
Zamigotały jasno reflektory latarni morskiej. Czerwone ogniki rozbłysły na falach, znacząc zarzucone sieci. Gdzieś z portu odzywa się przeciągle syrena okrętowa.

Na białej drodze wzdłuż wybrzeża pędzą auta, rzucając przed siebie oślepiające snopy białego światła. A chwilami zupełna cisza.

Na tle gwiaździstego nieba odcinają się wyraźnie kontury świątyni.

Z zasypiającego miasta dolata zgiełkliwe szczekanie włóczących się psów.

Wsiadamy do auta i zjeżdżamy powoli w dół.



SABATINO LOPEZ

„DWA SPOSOBY“

SZKIC SCENICZNY W 1 AKCIE — Z WŁOSKIEGO PRZEŁOŻYŁ A. TOMASZEWSKI

Wieczór letni, na wsi.

Tańczono i to dużo tańczono. Obeszło się bez fraków, sukni balowych, bez egret, białych rękawiczek i t. d. Ale za to natańczono się dosyta i jeszcze będzie się tańczyć, bo do rana daleko. Między jednym tańcem a następnym Ginewra i Luiza wyszły do saloniku, gdzie chłodniej. Typowa chwila do zwierzeń między przyjaciółkami.

GINEWRA: Tak, jego żoną. Ja zostanę jego żoną. Ja chcę być jego żoną. A wiedz, że gdy ja raz coś zechcę, to musi się stać.

LUIZA: Ależ, tak — ależ tak, będziesz jego żoną. Kiedy już tak lecisz na tego twego Filipa, to sobie go miej! Tylko zdaje mi się, że jest trochę przesady w tak uroczystej proklamacji twej woli dla tak małej rzeczy.

GINEWRA: Dlaczego dla tak małej?

LUIZA: Bo, żebyś była powiedziała: Chcę zostać cesarzową Japonji, ale zdaje mi się, że nie potrzeba takiego wielkiego wysiłku, aby ci się udało poślubić aptekarza.

GINEWRA: Filip nie jest aptekarzem!

LUIZA: Nieee? A przecież stoi cały dzień za ladą i kręci pigułki.

GINEWRA: Ależ on robi nie tylko pigułki, moja droga. Robi przecież wiele innych rzeczy.

LUIZA: A tak, słusznie, wygotowuje jeszcze różne mikstury.

GINEWRA: On jest chemikiem-aptekarzem! Tego proszę nie zapominać! a aby opuszczać „chemik“, to do tego trzeba albo kompletnej ignorancji, albo perfidji.

LUIZA: Nie — ale widzisz, w gruncie rzeczy jest przecież aptekarzem.

GINEWRA: Ty się na tem nie rozumiesz, bo cię to osobiście nie obchodzi, ale ja się dobrze poinformowałam. Aptekarz to tak jakby drugie nazwisko, jak się to przecież często zdarza.

LUIZA: Aha, to pyszne! Tak jak Dante Alighieri. Ale wszyscy nazywali go Dante.

GINEWRA (*urażona*): Ależ Filip nie jest Dantem.

LUIZA: No, na to, to mogę przysiąc.

GINEWRA: Ale jak Dante był w jego wieku, nie był jeszcze Dantem.

LUIZA: No, więc czym był wtedy?

GINEWRA: Był... no był... Eee, ty, kiedy się uweźmiesz, to jesteś taka uparta! Był poprostu Alighieri, ot co! A Filip jest za to ślicznym chłopcem. A pozatem także widzisz: moje przeznaczenie nie chce, bym popełniała coś nadzwyczajnego. Żadna nowa gwiazda nie zajaśniała na firmamencie, by zapowiedzieć moje urodzenie, żaden cud się nie zdarzył, nie mogę mieć więc wielkich pretensyj, ja, skromna osóbka. Co innego ty! Tyś się urodziła 29 lutego w roku przestępnym, jak taki sławny kompozytor, jak Rossini! A prócz tego ty jesteś kokietka...

LUIZA: Ślicznie dziękuję, moja najdroższa. Jesteś strasznie grzeczna!

GINEWRA: Co, obraziłaś się? A ja myślałam, że powiedziałam ci komplement, a nie jakiś zarzut.

LUIZA: Mniejsza o to zresztą — dziękuję za dobre intencje. Ale ja nie jestem kokietką.

GINEWRA: Nie? A przecież sama widziałam, jakie omdlewające spojrzenia rzucasz na chłopaka od cukiernika, jak ci do domu przynosi ciastka.

LUIZA: Eee, to tylko dlatego — aby przynosił świeże...

GINEWRA: Ale kokietuj sobie ile chcesz. Dla braku kogoś odpowiedniejszego ćwiczysz się, aby nie wyjść z wprawy. Ja zaś niestety nie jestem kokietką.

LUIZA: Ty jesteś turkawką. Ja tam — jeżeli już co, to wolę oczkować... A tobie się podoba tylko gruchanie.

GINEWRA: Mnie się podoba Filip — i już.

LUIZA: Więc co chcesz, bym ci na to powiedziała? Jesteś zanadto skromną w swych aspiracjach. Żeby Filip był przynajmniej doktorem. Ty, jedyna córka firmy „Amadec Coridetti i spółka, fabryka opon samochodowych“, masz nie tylko przywileje, ale i obowiązki stanowe! Ale zresztą, jeżeli ci się Filip tak podoba. — — — Ale, ale, czy ty też się podobasz jemu?

GINEWRA: Czy ja mu się podobam? Nie jestem ci nawet w stanie powiedzieć, jak! Ja go kocham...! Ja go kocham, jak, jak...

LUIZA: Jak światło słońca, i tak dalej... ja wiem, wiem. Ale on, on?! Czy oświadczył się o ciebie twemu ojcu. Nie? A więc powiedział ci, że cię kocha? Nie? Też nie?

GINEWRA: Ale dał mi to do zrozumienia, pod tym względem nie mam wątpliwości. Także dzisiaj, naprzykład, kiedy weszłam do apteki (*podnieca się opowiadaniem*), byłam sama, rozumiesz, i on też był sam... Miał w ręce łopatkę...

LUIZA: Co miał w ręce?

GINEWRA: Łopatkę, wiesz, o czem mówię...

LUIZA: Aha, do nabierania miazgi tamaryndowej. — Zrozumiałam.

GINEWRA: I na mój widok — wypadła mu łopatka!...

LUIZA (*ciągnąc dalej, kpiąc*): A tamaryndę ze zmieszania zjadł przedtem.

GINEWRA (*urażona*): Z tobą nigdy nie można rozmawiać serjo! To ty możesz nabijać mi głowę opowiadaniami o twoich różnych wielbicielach, ale kiedy ja raz jeden opowiadam ci o moim jedynym, najuko...

LUIZA: Ale co powie na to twój ojciec?

GINEWRA: Powie, że się zgadza.

LUIZA: Tak myślisz?

GINEWRA: Pewną tego jestem. Filip jest dlań bardzo sympatyczny.

LUIZA (*jakby uspokojona*): Niech się więc stanie. Jak to będzie ślicznie brzmiało: „małżeństwo gumowe“. Koła gumowe z gumą arabską. No, a kiedy wesele?

GINEWRA: Jak najprędzej!... (*Mniej stanowczo:*) Spodziewam się, że prędko. Ale jest koniecznem, bym mogła znaleźć się z nim sam na sam. Kiedy są ludzie, to ja tracę wszelką odwagę. Nie patrzę na niego, prawie, że mu nie odpowiadam, zdaje mi się, że wszyscy stoją naokoło i nas obserwują. Za to, jak nie ma świadków, to jestem odważna. Dzisiaj rano, naprzykład, kiedy się znalazłam sama przed nim...

LUIZA: I przed słoikiem z tamaryndą.

GINEWRA: Poczułam szaloną odwagę! I gdyby mi był powiedział wtedy tylko jedno słowo miłosne, byłabym mu odpowiedziała, że... tak.

LUIZA: No, ale on ci tego jednego słowa nie powiedział. Rozumiesz go? Między temi wszystkiemi słoikami i temi wszystkiemi truciznami i ziółkami! Och, dobrze zrobił, że milczał. Oświadczyny miłosne w aptece! Co za przedstawienie! Co do mnie, to chciałabym, by pierwsze oświadczyny miłości złożył mi mężczyzna — nie wiem, gdzie najpierw — czy nad morzem, czy na kwiecistej łące, ot, w taki w gwiaździsty wieczór, jak dzisiaj naprzykład. Poezja — cudne niebo, — nastrój: choćby pierwszy raz... Nie wydaje ci się?

GINEWRA: A gdyby się to stało właśnie dziś wieczór? Gdyby mi się udało pobudzić go do mówienia? Gdyby się zdecydował?

Ale muzyka znów zaczyna grać do tańca i dialog urywa się na tem pytaniu.

Obie przyjaciółki wybiegają w poszukiwaniu za swymi kawalerami. Mały salonik chwilkę jest pusty, ale, że jest to godzina zwierzeń poufnych, wchodzi dwóch młodych ludzi, chcących widocznie o czemś pomówić: Filip Sturari, chemik-farmaceuta, i Fryderyk Nolfi, lekarz-chirurg.

FRYDERYK: Tak ci się Ginewra podoba? A czy jej to powiedziałeś? Nie? — Tylko masz wrażenie, że i jej nie jesteś obojętny? Tem lepiej! Ale tak długo, jak długo ty — zamiast wylać ocean twoich miłosnych oświadczyn na jej łono, szukasz dla niego ujścia na mojej kamizelce, nic nie osiągniesz.

FILIP: Eee, ty mówisz, jak mędrzec starożytny, a ja poprostu się boję. A właściwie boję się i nie boję... Zaraz ci to wytłumaczę.

FRYDERYK: Pysznie! Wyjaśnijże tę zawiłą historję.

FILIP: Otóż tak: jako chemik jestem zuchwały, muszę być zuchwały. Jako farmaceuta jestem rozważny, mam obowiązek być rozważny. Jako chemika pociągają mnie nowe eksperymenta. Jako farmaceuta trzymam się starych, znanych recept. Tak też i mój stosunek do Ginewry. Jak są przy tem ludzie, ponosi mię odwaga zuchwała: chemik obejmuje urzędowanie. Ale kiedy jestem z nią sam na sam, staję się znowu bojaźliwym i ostrożnym: aptekarz przypomina sobie swoje obowiązki i szanuje zasady swego zawodu. (*Z wybuchem żalu:*) Ach, jaki ty jesteś szczęśliwy, że nie cierpisz od takich przeciwieństw natury, że jest w tobie jeden człowiek, a nie dwóch. — — — (*Jednym tchem:*) Ty musisz koniecznie z nią pomówić..., rozumie się pomówić w mojem imieniu, za mnie i dla mojej korzyści. (*Błagalnie:*) Zrób to dla mnie!

FRYDERYK (*spokojnie*): Wiesz, co ci muszę powiedzieć? Że ty nie tylko jesteś chemikiem-farmaceutą, ty jesteś pozatem rozkochany w sytuacjach teatralnych!

FILIP (*zdumiony*): Jaaa?

FRYDERYK: Tak, ty, mój kochany. Ty musiałeś widzieć na scenie, a przynajmniej czytałeś Cyrana de Bergerac! Tybyś chciał, abym ja objął rolę długonosego Gaskończyka, a dla siebie rezerwujesz rolę Krystjana, ślicznego chłopca. Nie, mój przyjacielu! Po pierwsze nie umiem deklamować, po drugie, nie jestem zakochany w twojej Ginewrze, jak Cyrano w Roksanie, tak, że nie potrafiłbym ci nawet pomóc. Jeżeli mam się przyznać, mnie się bardziej podoba kto inny — Luiza.

FILIP: To się właśnie dobrze składa. Będziesz mógł dać wspaniałą próbę twej bezinteresownej przyjaźni.

FRYDERYK: Aha, oczywiście, — ale ani mi się nie śni!

FILIP: Posłuchaj! Ja przecież nawet nie powinienem potrzebować cię o to prosić, a jednak proszę!

FRYDERYK: Posłuchaj: ja nawet przecież nie powinienem potrzebować ci powiedzieć, żeś warjat, a ci to mówię.

FILIP: Dlaczego?

FRYDERYK: Dlatego, bo tak jest. Cyrano jest wytworem fantazji poetyckiej, fikcją dramatyczną, ale rzeczywistość ma inne wymogi. Rzeczywistość żąda, aby zakochany sam sobie dał rady, bez uciekania się do pomocy tłumacza. Jakież pojęcie wyrobiłaby sobie o tobie Ginewra, gdybyś ty złożył jej miłosne oświadczyny przez usta drugiego, z czystego tchórzostwa. Ty, mój kochany, przyjąwszy nawet, że oferta twojej ręki w ten sposób złożona zostałaby przyjętą, podstawiłbyś już zgóry twój kark pod jej nóżkę.

FILIP: Fryderyku!

FRYDERYK: A tak. Bo kobietę szturmuje się frontalnie, a nie kołując z tyłu, od pleców. Nie wchodź w życie kobiety, a już przedewszystkiem młodej dziewczyny przy pomocy głosu przyjaciela.

FILIP: Najpierw mi mówisz o ręce, potem schodzisz do nóg, potem okrążasz od pleców, potem znowu wygłaszasz sentencje o życiu... Powiedz, co ty wygadujesz?



FRYDERYK: Mówię do ciebie językiem szczerości. Gdybym ja się w twojem zastępstwie rozmówił z Ginewrą, ona zawsze mnieby wspominała: słowa miłosne stworzyłyby niezatarte znaki w jej pamięci, znaki, związane z głosem i osobą tego, który te słowa wypowiedział. Nie uniknąłbyś tego, żebym się nie stał twoim rywalem. Gdybym miał nawet najsilniejszy wstręt do zdradzenia cię, onaby cię w myśli ze mną zdradzała. A ja nie mam najmniejszej ochoty zdradzać cię z nią, chociaż twoja Ginewra jest ładna i pełna wdzięku, ale nie jest w moim guście, jak ci to już mówiłem. Jeżeli już — to bez porównania bardziej podoba mi się jej przyjaciółka, Luiza, która jest pięknością majestatyczną, a nie taką delikatniutką. — W najlepszym już wypadku brakowałyby w przyszłości zawsze twemu szczęściu najpiękniejsze słowa kobiety, jakie na zawsze w jej pamięci pozostają i które zawsze wspominać będzie: Ach, jak ty to cudnie powiedziałeś wtedy pierwszy raz, że mnie kochasz! Brakowałyby, bo tybyś zaczął dopiero od drugiego razu. Otrząśnij się Filipku — nie bądź aptekarzem, stań się odważnym, niechaj chemik przemówi!

FILIP: To się tak łatwo mówi: bądź odważny! To tak samo, jakbyś powiedział: miej czterdzieści tysięcy lirów dochodu, a ja ich przez to powiedzenie nie będę miał.

FRYDERYK: A więc okrąż pozycję! Zamiast mówić z panną, pomów z jej ojcem. Poproś ojca o jej rękę.

FILIP: Tak odrazu, nawet nie wiedząc, czy się jej podobam?

FRYDERYK: A przecież powiedziałeś mi już, że tego jesteś pewny.

FILIP: Jestem pewny — oczywiście, jestem pewny — o tyle, o ile... Wszystko na to wskazuje, ale nie mam na to dowodu, wyraźnego powiedzenia — pewnego oświadczenia. —

FRYDERYK: Więc powiedz jej wreszcie, że ją kochasz! Aby zdobyć dziewczynę, jest tylko jedna droga — powiedzieć jej, że z całej duszy chcesz ją mieć!... Czy chcesz, aby ona ci się oświadczyła?

FILIP: Oczywiście, że nie chcę, bo toby nie było „*correct*", ale gdyby to było „*correct*", to wolałbym.

FRYDERYK: Słuchaj: Czy nie powiedziałeś mi przedtem, że kiedy koło was są inni ludzie, to ty wobec niej czujesz się lwem!

FILIP: Lwem — to może trochę za dużo powiedziane...

FRYDERYK: Powiedzmy więc leopardem? A więc niech się stanie! Ja będę obecny przy twoich oświadczynach, dodam ci odwagi swoją obecnością. A nawet znakami czy słowami będę ci dodawał sił! Będę miarkował twą wymowę, gdy będzie zbyt gorącą i zuchwałą, będę cię podniecał, gdy będziesz zbyt matowym. Jeśli okaże się potrzebnem, ochłodzę tuszem chemika, — dam środek pobudzający aptekarzowi!

FILIP (*widzi wchodzącą Ginewrę z Luizą, trzymające się wpół, ściska silnie dłoń Fryderyka*): Cudownie, świetnie — to ona, czuję się, jak odmieniony!

GINEWRA (*spostrzega Filipa i, wysuwając rękę z pod ramienia Luizy, mówi do niej*): To on! Mam uczucie, że umieram.

LUIZA (*do Ginewry*): Czy chcesz, abym dla dodania ci odwagi zostawiła cię z nim sam na sam?

GINEWRA: Dobrze, odejdź!

FRYDERYK (*do Filipa*): Czy wolisz, abym się stąd zabrał?

FILIP: O nie! Zostań!

GINEWRA (*do Luizy*): A zabierz ze sobą także Fryderyka, bo inaczej stracę całą odwagę.

FILIP (*do Fryderyka*): Postaraj się też zatrzymać Luizę, inaczej stracę cały animusz.

(Luiza i Fryderyk, jakby powziąwszy jednocześnie postanowienie, idą wprost na siebie i jednocześnie mówią:) (D. n.)

TAŃCZY PIEROT Z KOLOMBINĄ

Tańczy pierot z Kolombiną, Mefisto zaś z czarodziejką... Jak to zwykle bywa na balu kostjumowym.

Marynarz z dalekich stron, który oczy ma przyćmione haszyszem, wziął sobie niewinną dzieweczkę. Gruby mnich zawinął rękawy i kłania się baletnicy, której lotna sukienka zbyt nikłą jest wdzięków osłoną. Tańcują ze sobą dwa chińczyki, niebieskie ze srebrnem, jak na chińczyków przystało, a na plecach mają wymyślnie wyrobione, czerwone pagody. Kozak do markizy się umizga, a chwyta w pół murzynkę.

Ludzie są jacyś inni, świat kręci się w przeciwną stronę. Ktoś rozpina parasol, choć wszystkie lampy płoną, inny włożył perukę, a o bucikach zapomniał, ten ma listek figowy, a ta go niema, bożek wschodni pali krótką fajeczkę, a dama, której brak tancerza, kręci się z drugą, której też nikt nie szuka. Ale wszyscy tańczą. Jak kto chce, jak kto umie. Raz dokoła, w lewo, w prawo, dzikie murzyńskie pląsy, chodzenie w takt muzyki tresowanych koni, namiętny splot ciał, czasem niby lekki, rozmarzony rytm walca. Ale wszyscy tańczą. I wszystko tańczy. Jak chce, jak umie. Tańczą płaszcze czarodziejskie i kwieciste kimona, tańczą miękkie pióropusze i srebrne szable pobrzękują, tańczą ponsowe grzebienie i przejrzyste szale, tańczą buty ze sztylpami, wysokie koreczki i kąpielowe pantofelki, tańczą tuniczki, spódniczki, staniczki, materje pstre, zielone, czerwone. Tańczą nogi, biodra, piersi, tańczą ramiona, dłonie, palce, tańczą oczy i usta. Usta też tańczą.



— — — — — — — —

A było to na balu artystów polskich w Paryżu. Prezes Zawadziński i sekretarz Pająk powiedzieli, że ma być bal, jak na bal polskich artystów w Paryżu przystoi. Ładnie, składnie i wesoło. Tadeusz Makowski na zaproszeniach wymalował dwie naiwnie nagie kobiety, — złośliwi powiedzieli, że było ich aż trzy, komitet poprzypinał sobie kokardki do dobrze skrojonych fraków, rzeźbiarz Black stanął za ladą i sprzedaje confetti. Sale udekorowano obrazami.

Na wstępie wita dama, obietnic pełna, tylko w pończoszkach, nie w czarnych, ropsowskich, bo to *vieux jeu*, ale malowanych ochrą. Naturalnie obok litery K. Z. Młode malarzyki, co niedawno terminować przestały, pokleiły latarnie — zabawki. W rozgrzanem, nieomal egzotycznem powietrzu wiszą koła słoneczne, z kwadratów barwnych zlepione pudełeczka, bombonierki, które dobrze ukrywają światło. Ot, żeby nie było ani zbyt ciemno, ani zbyt jasno, żeby widzieć co można, a nie zobaczyć, czego nie trzeba.





Ładnie, składnie, wesoło. Przedewszystkiem wesoło. Żeby oczy śmiały się do sąsiada, jeśli interesujący, a usta wiele obiecywały sąsiadce, jeśli jest ładna. I tak było. Usta się śmiały, a oczy obiecywały...

— — — — — — — — — — — — —

Opowiadała mi ciotka, że gdy się szło na bal do Ratusza — w Warszawie, w latach 80-tych, — to zaraz przy wejściu, w jakimś buduarku zasiadało *jury*, przed którem należało uchylić maseczki. Może kto nie z „towarzystwa“ chce się przemycić? Jeśli przypadkiem ktoś pozwoli sobie na zbytek swobody, łatwo wyśledzić zbrodniarza.



O ciotko, *jury* z Ratusza, niewinne maseczki, dobrze, że was tu nie było!

— — — — — —

Krążę po sali. „Intryguję“. Jak miło nie być czasem sobą, zamiast własnej maski włożyć cudzą twarz i mówić wszystkim co się podoba.

Podchodzę do artysty, który maluje autoportrety, w otoczeniu zjaw, chimer, widm. Patrzę na czubek jego głowy.

— Nie ma pan dziś nietoperza we włosach, ani gnomka u stóp, ani wampira na ramieniu? I żyje...

Murzyna pytam, czy zawsze taki czarny, i pozwalam mu na obrażającą wątpliwość: A Polki mają temperament?

Staruszkowi przypominam jego naturalne dzieci, a młodzieńcowi — jestem dziś bez serca — zawody miłosne. Cnotliwą mężatkę namawiam, by wobec spadku franka podniosła ceny swych wdzięków, a pięknej malarce radzę srogiemu krytykowi być powolniejszą.

— — — — — —

Los lubi żartować — nawet z uczonych. Na balu było trzech bibljotekarzy — trzech wielkich bibljotek polskich.

Jeden wysoki, w pięknym fraku, patrzy zgóry na kręcący się tłum. Podchodzę i kładę mu rękę na ramieniu. Nagle jestem mała „midinetka“, która od miesięcy marzy o tym panu z dalekich stron. Nieśmiało, skromnie. A teraz może mu swe marzenia powiedzieć:

— Ja wiem, ojczyzna pana za siedmiu górami, siedmiu rzekami...

Twarde serce uczonego topnieje, topnieje... Oto gdzieś, niedostrzeżone małe, milutkie stworzenie tęskni do niego. Oto jest jak królewicz z bajki.

Nagle „zgrzyt żelaza po szkle“.

— Pójdźmy na szampana?

Ręka usuwa moją rękę, zostaję sama na środku sali. Uczony nie ma już złudzeń, ale ma za to pięćdziesiąt franków w kieszeni...

— — — — — — — — — — — — —

Drugi, znany bibljofil, włożył granatową sukienkę i dobrze udaje dziewczątko. Grzecznie dyga, gdy mu się każe, buzię ma w ciup, rączki w małdrzyk.

— Proszę nie szczypać! — broni się piskliwie, gdy ktoś sięga do jego zgrabnych nóżek, gdzieś, aż tam, ku granicy barwnych podwiązek, które świetnie obciągają pończoszki. I mili, za 9 fr. 95 centymów.

O lekkomyślny bibljofilu, przecież za to książkę można było kupić!...

— — — — — —



CZARODZIEJKA
(Kostjum z pracowni p. Łazarskiej)

Pierot, zmęczony tańcem, miękkim, jedwabnym ruchem swych czarnych szat, rzuca się na fotel. Niby wielki, wielki kot.

— Chlubo nauki polskiej, strażniku narodowych pamiątek, panie na tylu a tylu in-folio i in-quarto, jakże to pięknie, że umiesz tak się bawić.

— Cicho, cicho... Kolombina usłyszy. Prawda, jaka śliczna? Powiedziałem jej, że jestem bankierem...

Rozumna Kolombino co kochasz duszę uczonego w wymarzonej kiesie bankiera...

— — — — — — — — — — — —

Tańczy pierot z Kolombiną, zaś Mefisto z czarodziejką. Tańczą tuniczki, spódniczki, staniczki, materje pstre, zielone, czerwone. Tańczą nogi, piersi, biodra, tańczą ramiona, dłonie, palce. Tańczą oczy i usta. Usta też tańczą...

A może tak wcale nie było. Tylko mi się zdało? Albo było — bo tak chciałam. Mogłam, co chcę, uczynić. Bo wieczoru tego nie byłam sobą — ale... czarodziejką. Miałam siatkę żółtą, staniczek czerwonawy, spódniczkę z tęczowych wstążek, wysoki hełm, z którego spływał srebrny welon na twarz, na rozsypane włosy. I płaszcz, płaszcz czarodziejki, haftowany w gwiazdy, księżyce, słońca.

O wieczorze czarowny... *A. W.*

TEATRY WARSZAWSKIE

Warszawa, styczeń 1925

Jakkolwiek Bernard Shaw jest człowiekiem, który oddawna przyzwyczaił nas do rozmaitych niespodzianek, to jednak wiadomość, że „największy kpiarz świata" wybrał za bohaterkę swojej kroniki dramatycznej Joannę d'Arc — była naprawdę niespodzianką. I to tem większą, iż znakomity pisarz angielski nigdy nie okazywał sympatji ani Francji, ani jej kulturze, ani jej duchowi bohaterstwa. Ośmielę się też postawić śmiałą hipotezę, iż uległ poprostu czarowi naiwnej dzielnej dziewczyny, że poznał w niej jeszcze jeden typ, nadający się do cudownej galerji postaci kobiecych, jakie dotychczas stworzył. Shaw nie lubi Anglików i obchodzi się z nimi bezlitośnie. Ale lubi Angielki i umie mówić o nich miękko i przyjaźnie. To samo uczucie ma widocznie do Francuzów i Francuzek. Nazwałam hipotezę swoją śmiałą — ale gotowa jestem jej bronić, znam bowiem wszystkie dzieła tego autora, a jego postacie kobiece zawsze wydawały się dziwnie piękne i proste w zestawieniu z przedstawicielami rodu męskiego, którzy u Shaw prawie zawsze mają coś na sumieniu...



p. Malicka jako Joanna d'Arc

Sztuki Shaw mają jedną wielką wadę: otóż są właściwie niezrozumiałe bez wstępów. To też radzę wszystkim moim łaskawym czytelniczkom przeczytać „Świętą Joannę" w przekładzie Sobieniowskiego — o ile brak znajomości języka angielskiego nie pozwoli im się zapoznać z tem dziełem w oryginale. Ale wróćmy wreszcie do tego dzieła!

Joanna d'Arc jest w niem nietylko postacią żywą ale również symbolem ludu i narodu. Joanna przeciwstawia się potędze feudalnej, dynastycznej i kościelnej — i z rąk tych zjednoczonych potęg ginie. To właśnie jest, że się tak wyrażę, najlepszym dowodem jej świętości. Niema na ziemi miejsca dla świętych! Gdyby Joanna wróciła na ziemię — historja jej musiałaby się powtórzyć. (Z dwóch trybunałów, które ją sądziły, ten który oczyścił Joannę stał według Shaw niżej moralnie od tego, który ją skazał.) Ale świętość Joanny mieści się w niej samej, w tej jasnej, prostej duszy, w „głosach", które słyszy, które dyktują jej czyny szalone, ale jakie genjalne w swej prostocie! Sprawa wypędzenia Anglików z ojczyzny jest dla Joanny kwestją bezsporną i łatwą. Kompromis natomiast byłby zbrodnią. Poprostu „nie dorosła do niego"... I to stanowi jej wyższość nad słabym królem, nad przedajnymi wielmożami i rycerstwem, sprzeniewierzającem się dawnym szczytnym ideałom... Wywiera ona również urok na owego „największego kpiarza", wydobywając z jego serca tony prawdziwej miłości ludzkiej i głębokiego smutku. Ale urok ten ustępuje, ilekroć w Shaw budzi się „kpiarz", pozwalający sobie na swoje przemiłe bezceremonjalne koziołki myślowe, odwracanie pojęć i anachronizmy, pobudzające widownię do śmiechu i oklasków. Anglicy nie cieszą się w Warszawie zbytnią sympatją, to też każda złośliwość pod ich adresem wywoływała niekłamaną radość publiczności.

Jak wszystkie sztuki Shaw, i ta „kronika dramatyczna" nie może obejść się bez małego traktatu. Tym razem temat jest bardzo aktualny; nacjonalizm Shaw ukazuje nam dwa jego oblicza: jedno, szlachetne, proste, pierwotne — to Joanna; drugie — tępe i szkodliwe — to mistrz Stogumber.

Dość jaskrawo występuje tu również kwestja religijna: Joanna bezpośrednio i wprost rozmawia z Bogiem i otrzymuje od niego rozkazy, co, oczywiście, nie może się podobać dygnitarzom kościelnym, którzy pośrednictwo uważają za swój urząd. W pojęciu Shaw jest Joanna protestantką, a jednak została kanonizowana przez kościół katolicki (w 1920 roku!).

Przedstawienie „Joanny d'Arc" w Teatrze Polskiem było jednem z tych widowisk, o których pamięć pozostanie długo. Świetna reżyserja Zelwerowicza, dekoracje Śliwińskiego zasługują na najwyższe pochwały. Rolę tytułową odtworzyła panna Malicka, która wyszła zwycięsko z trudnej próby, Joannę bowiem — owo połączenie wdzięku kobiecego i tężyzny żołnierza — zaliczyć można do najtrudniejszych ról.

Z. P.

LIST DO PIĘKNEJ PANI

Pani!

Czeka Panią teraz niespodzianka. Nie będę pisał o wspaniałem futrze selskinowem, w którem Pani tak bardzo do twarzy, ani o małym poemacie, przecudnym kapeluszu, który obudził ogólny zachwyt. Przypomniałem sobie bowiem, że dawno już obiecałem napisać Pani o najnowszych książkach, godnych przeczytania. Przypomniałem sobie, bo spadł już śnieg, w piecu huczy ogień i w liljowym buduarze Pani jest rozkosznie, przytulnie i ciepło. Wiem, że piękna Pani siada teraz często na niskiej kozetce i bierze książkę do ręki. A że wybór trudny, postanowiłem przyjść Pani z pomocą i napisać o najnowszych książkach słów kilkoro.

Przeczytała już Pani zapewne wspaniałą powieść Wacława Sieroszewskiego: „Beniowski“, pierwszą część zamierzonej trylogji. Wyszła obecnie część druga p. t. „Ocean“, przedstawiająca w niezwykle plastyczny i malarski sposób awanturnicze przygody Beniowskiego i jego towarzyszy na okręcie „Piotr i Paweł“ na pełnym oceanie. Sieroszewski ujmuje w cykl opowieści dzieje jedynego w Polsce awanturnika i globtretera, o którym Juljusz Słowacki napisał swój nieśmiertelny poemat. Powieść Sieroszewskiego przeczyta Pani jednym tchem, bo jest czarująca.

Niezmordowany podróżnik i znawca Zachodu Ferdynand Hoesick wydał obecnie tom ciekawych wrażeń i opisów z podróży p. t. „Wędrowiec“. Przed oczyma Pani przesuwa się Ostenda, Rzym, Wiedeń. Wszystko opisane z najdrobniejszemi szczegółami. A więc nietylko zabytki kultury i cuda przyrody, ale przybytki zabaw i przyjemności. Hoesick pisze barwnie, zajmująco, więc książkę jego przeczyta Pani z prawdziwem zadowoleniem, odświeżając swoje wspomnienia z pobytu na Zachodzie.

Wykwintny nowelista Wacław Grubiński przypomniał się obecnie nowym tomem swoich nowel. Noszą one tytuł „Lwy i św. Grojosnaw“. Każda nowelka Grubińskiego jest arcydziełkiem stylu i języka. Grubiński umie podchwycić typ, zainteresować doskonałą pointą. Treścią: miłość w jej najbardziej oryginalnych i charakterystycznych objawach. Tak, piękna Pani, od Grubińskiego można się wiele dowiedzieć o miłości. Jest to znawca wytrawny. Dlatego książkę jego koniecznie trzeba przeczytać.

I jeszcze jeden tom nowel pojawił się na półkach księgarskich. Autora Pani nie polecam, bo go Pani dobrze zna. Jest nim Juljusz Kaden-Bandrowski, a nowy tom jego nowel posiada sympatyczny tytuł „Przymierze serc“. Są to wybornie, lekko pisane szkice. Treści Pani nie zdradzę, bo zepsułbym Pani chęć do czytania. Powiem tylko krótko: naprawdę warto przeczytać.

Jest jedna oryginalna książka, która zaciekawi Panią, bo opisuje autentyczne przeżycia autora w Bolszewji. Pisana jest jak powieść, oryginalna i bogata w barwne epizody, a nosi dosyć pompatyczny tytuł, sam już mówiący dużo o treści: „Niezwykłe przygody Julja Jurenity i jego uczniów“ (wyliczać ich nie będę). Autorem jest Ilja Erenburg. Autor ma piękne imię, książka jest piękna. Gorąco polecam.

Najmilszy z poetów Jan Lechoń popełnił właśnie nowy tom swoich czarujących wierszy. Zatytułował je „Srebrne i Czarne“. Wszystkie trzeba się nauczyć na pamięć, piękna Pani, bo płyną gładko jak fala.

Polski „zakonnik“, człowiek o niestrudzonej cierpliwości i najwybitniejszy tłumacz dał niedawno nowy swój przekład. Tym razem Balzaka „Kuzynka Bietka“. Jest to powieść, jedna z najciekawszych z „Komedji ludzkiej“. Balzaka zna Pani zbyt dobrze, abym go musiał jeszcze zachwalać. Nazwisko mówi samo za siebie.

Nie będę Pani również zachwalał Jacka Londona. Ten pociągający pisarz, którego powieści działają jak haszysz, jest obecnie w Polsce tak znany i modny, że mówić o nim nie potrzeba. Obecnie wyszedł tom jego nowel p. t. „Zew krwi“ w doskonałym przekładzie.

Wiem, że Pani przepada za poezjami, więc wspomnę jeszcze o dwu tomikach, które sprawią Pani przyjemność. Jeden, to „Sonety“ angielskiej poetki Elżbiety Barrett-Browning w przekładzie Reutt-Witkowskiej. Drugi, to owoc poetyckich natchnień młodej polskiej poetki Hanny Mortkowiczówny „Jarzębiny“.

Przypomnę również Pani, że wyszedł tom poezji Kazimierza Tetmajera (ósma serja) i że Stanisław Wyspiański ukazuje się w przepięknej szacie, w wydaniu zbiorowem. Dotąd pojawiły się już dwa tomy jego „Dzieł“.

Ach! omal, że nie zapomniałem! Przeczytałem właśnie rozkoszną książkę, która Panią z pewnością ubawi i zaciekawi. Autor jest wprawdzie bardzo stary (raczej starożytny), bo jest nim Apulejusz, ale książka jest wiecznie młoda i zwie się „Metamorfozy albo Złoty Osioł“. Jeśli chce Pani spędzić kilka chwil naprawdę miłych, niech ją Pani koniecznie przeczyta.

Kończę mój list, bo widzę, że się zbytnio rozpisałem. Niech mi Pani wybaczy tę małą gadatliwość. Chciałem podać Pani wszystko, co jest godne przeczytania, a że się tyle zebrało, to już nie moja wina. Cieszę się już na myśl, że to wszystko podoba się mojej pięknej Pani i że będę mógł niebawem posłużyć jej znów moją poradą. Tymczasem

całuję śliczne rączki

K. B.



MARJA CORELLI

5)

„BEZ CZEGO ŻYĆ NIE MOŻNA...“

POWIEŚĆ — Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA W. TOMASZEWSKA

W bezgranicznem zdumieniu szarpał brodę i dumał, jakby też dalej rozmawiać z tem dziwnem dzieckiem. Bo jakże mógł pouczyć kogokolwiek, co należy czynić, by „dostać“ duszę? Na szczęście dalsza rozmowa okazała się chwilowo zbyteczną, bo oto ukazała się na ścieżce mała dziewczynka, z najpiękniejszą buzią, jaką sobie tylko wyobrazić można. Cudna ta twarzyczka jak pączek róży wychylała się z pod wielkiego, białego czepca, z pośród bogactwa kasztanowych loków. Malutka osóbka wydawała się Lionelowi istną minjaturą Trojańskiej Heleny, tak piękną była i delikatną. Ponieważ nie pozwolono mu nigdy czytać żadnych bajek, przeto nie przyszło mu na myśl porównanie z małą wróżką, choć byłoby ono zapewne najtrafniejszem. Natomiast niejednokrotnie biedził się już nad Homerem, wiedział więc, że wszyscy bohaterowie wojny trojańskiej walczyli o tę Helenę i że była przepiękna. Zadecydował więc, że gdy Helena Trojańska była małą dziewczynką, — a przecież musiała być kiedyś małą dziewczynką — musiała wyglądać wówczas zupełnie tak samo, jak ta mała osóbka, która zbliżała się, niosąc spory koszyk na ramieniu i krocząc poprzez groby tak leciutko i z takim wdziękiem, jakby była jeno czarownym kwiatem, przyniesionym na cmentarz przez powiew lata.

— Holla! — zawołał Reuben Dale, odrzucając precz łopatę. — Oto moja mała! Oto mój kwiatuszek Jaśmina! Przynosisz posiłek staremu ojcu?

W odpowiedzi na to pytanie dziewczyneczka roześmiała się; jakby promyk słońca zabłysnął wśród falbanek czepka, buzia jej utworzyła czerwone O, w zamiarze wyrażenia obietnicy czegoś wybornego... Wkońcu otworzyła koszyk, wyjęła z niego dzbanek pełen gorącej kawy, pokrytej wybornym kożuszkiem, i dwie wielkie kromki domowego chleba z masłem.

— Dobre, co, tatusiu? — pytała, kładąc te specjały na brzegu wykopanego dołu.

— Doskonałe, mój kwiatuszku! — zawołał Reuben Dale, podnosząc małą wysoko na ramionach nad swoją głową, a stawiając, na ziemię, wycisnął na jej rumianych policzkach dwa serdeczne pocałunki. Popatrz się, Jaśmino, na tego chłopczyka, będziesz mogła z nim pogwarzyć. Idź do niego i powiedz mu ładnie „dzieńdobry“.

Rozkazu tego usłuchała Jaśmina natychmiast i dokładnie. Podeszła do Lionela, który siedział zatopiony w zachwycie nad nią, i wyciągnęła do niego małą, pulchną łapkę.

— Dzieńdobry! — powiedziała i, zanim Lionel mógł słówko odpowiedzieć, potrząsnęła hardo swemi lśniącemi lokami i... uciekła. Chłopiec zerwał się na równe nogi, zdumiony i boleśnie dotknięty; Reuben Dale roześmiał się.

— Biegnij za nią, mój chłopcze! Dobrze ci zrobi wygonić się trochę! Ona zawsze taka przekorna z początku, lubi się trochę podroczyć, jak prawdziwy kociak. Figlarka jest i tyle. Pewnie skryła się zaraz za skrętem.

Lionel zachęcony pobiegł pędem, naprawdę pędem — rzecz u niego niezwykła. Stał się odrazu bohaterem prawie, niby jeden z tych groźnych mężów Iljady. Jego „Helena“ skryta czekała za skrętem, a on miał niezłomne postanowienie odszukać ją, więc po długiej pogoni poprzez groby za znikającym raz po raz za krzewami białym czepkiem, mała osóbka, jak prawdziwa kobietka, pozwoliła się wkońcu łaskawie schwytać, trwożnie spoglądając w twarz swego młodocianego zwycięzcy.

— Co ty jesteś za chłopcyk? — zapytała, szarpiąc ząbkami wstążki czepka z wdzięczną kokieterją. — Ty jesteś ładny chłopczyk, a inne chłopce tutaj są skaradne.

Jakież akcenty minjaturowej Heleny Trojańskiej drgały w tym głosiku, jak ślicznie brzmiało to „skaradne“ w jej usteczkach, składających się jak do pocałunku... Lionel pomyślał, że strasznie chętnie ucałowałby ją, — i na samą tę myśl zarumienił się gorąco. A tymczasem jego mała „Helena Trojańska“ obserwowała go dalej.

— Chciałbyś jabłusko? — zapytała, wyciągając z jednej ze swych minjaturowych kieszonek małe, rumiane jabłuszko. — Dam ci go, ale musis mi najpierw dać odkąsić to cerwone miejscusko.

Jeśli kiedykolwiek jakakolwiek młoda dama wyglądała „zachwycająco“ (jak to zwykło się wyrażać o dorosłych pannach), to napewne miss Jaśmina Dale była zachwycającą. Z figlarnym błyskiem w niebieskich oczach, z uśmiechem na purpurowych usteczkach, gdy proponowała mu, by odkąsić dał „cerwone miejscusko“, z mieszaniną śmiałości i ujmującej a nieuświadomionej kokieterji była taka wdzięczna, że Lionel całkiem stracił głowę i zapomniał chwilowo o wszystkiem, prócz o tej tak naturalnej rzeczywistości, że był małym chłopcem, a ona małą dziewczynką. Śmiał się wesoło, tak wesoło, jak nie śmiał się przez długi, długi szereg jednostajnych, nużących dni, — i wziął jabłko z jej łapki. Potrzymał go przy jej buzi, aż białemi, drobnemi ząbkami odgryzła „cerwone miejscusko“, i uważał, by sok nie ściekał na bródkę z figlarnym dołeczkiem.

— Czy mogę wziąć sobie resztę, pozwalasz mi? — zapytał potem Lionel i odważył się ująć ją za ramię, pomagając jej przeskoczyć duży, starożytny grób, w którym, jak wieścił napis na pół zwietrzałym nagrobku, spoczywały „śmiertelne szczątki Marty Dumphy, która zasnęła w Panu w wieku dziewięćdziesięciu lat“. Dawno, dawno temu żyła Marta Dumphy — dawno, dawno temu już zmarła, — lecz gdyby dusza jej odwiedziła grób, nie byłaby napewne czuła się urażoną zachowaniem tych dwojga dzieci, których nóżki tak lekko przeskoczyły jej grób.

— Tak, mozes restę zjeść — odparła Jaśmina łaskawie, a po chwilce dodała z minką niesłychanie chytrą i wesołą — mam jesce drugie w kieseni.

Jakżeż zaśmiewała się ta dwójka. Zapominając całkowicie o „śmiertelnych szczątkach Marty Dumphy“, usiedli na murawie, pokrywającej jej stare kości, i zajadali radośnie jabłka. Użyczyła wspaniałomyślnie Lionelowi z drugiego jabłuszka „cerwone miejscusko“, a Lionel, który wcale głodny nie był, znajdował przedziwnie smacznemi te późno z drzewa zebrane, niezwykle soczyste owoce.

— Chodź do kościoła — zaproponowała potem Jaśmina. — Tatuś zostawił dzwi otwarte. Chodź, popatsymy się na te ogromne lilje na ołtaru Bozi.

Lionel patrzył w jej wdzięczną twarzyczkę i czuł się dziwnie zakłopotany jej zaproszeniem. Wiedział wprawdzie, o czem ona mówi, otrzymał w ciągu swej nauki dokładne wiadomości w kwestji chrześcijańskiego „mitu“, mitu tylko, narówni z innemi religjami świata, znanemi w historji. W planie jego nauk zostały one razem zestawione w następujący sposób:

1. O Pta i egipskiej mitologji;
2. O Bramie, Wisznu i kulcie indyjskim;
3. O wierzeniach chaldejskich i fenickich;
4. O rzymskich i greckich bogach;
5. O Buddzie i Budaizmie;
6. O Konfucjuszu i chińskich sektach;
7. O mitologji meksykańskiej;
8. O Odynie i wierzeniach ludów północy;
9. O mohamedanizmie i Koranie;
10. O Talmudzie i tradycjach żydowskich;
11. O Chrystusie i stopniowem powstawaniu mitu chrześcijańskiego na podstawie religij pogańskich Greków i Rzymian;

12. O postępach pozytywizmu i Czystego Rozumu, które wykazują, że wszystkie religje i wierzenia są pozbawione podstaw i tylko hamują swobodny rozwój postępu ludzkości.

Tej części nauki Lionela poświęcono bardzo dużo miejsca, przyczem powtarzano mu stale i po wiele razy, że dziś już tylko pół-barbarzyńcy mogą jeszcze wierzyć w istnienie zjawisk nadnaturalnych i istot boskich.

Uczono go, że wykształcona część ludzkości zrozumiała obecnie już, że Boga niema, i że pierwszą przyczyną wszechrzeczy był tylko atom, twórca dalszych atomów, krążących z niezachwianą regularnością i tworzących różne światy, a zatem, że początkiem wszechrzeczy nie było nic innego, tylko widoma materja. Tak więc część intelektualna ludzkości zgłębiła tajemnicę wieczności, ku swemu pełnemu zadowoleniu, a biedny mały Lionel był wychowywany i kształcony poto, by zająć odpowiednie miejsce wśród tej inteligencji, gdzie już ojciec jego był chwalebnie znany ze swych niezachwianych zasad i pedanterji myślenia.

Pouczono go i zapewniono, że tylko biedni, nieświadomi wołali jeszcze do Boga, jako do „Ojca naszego“, i wierzyli w walczącego o prawa ubogich robotnika z Nazaretu, Jezusa, jako w bóstwo, którego życie i śmierć wskazywały ludzkości drogę do zbawienia niebieskiego. Główną wadą, jaką zarzucano jego nauczycielowi Willemu Montrose, była właśnie taka wiara w rzeczy nadprzyrodzone i jego stanowcza odmowa, by czego innego nauczać swego ucznia. Dlatego przedmiot „religja“ został wówczas usunięty z programu jego nauki i właśnie stanowisko Montrose'go w tej kwestji było, prócz innych drugorzędnych przyczyn, głównym motywem zwolnienia go z posady nauczyciela Lionela.

Wszystko to miał chłopak świeżo w pamięci, a oto teraz Jaśmina powiedziała „o liljach na ołtazu Bozi“, a więc i ta słodka, mała dziewczynka była takim pół-barbarzyńcą, to śliczne maleństwo, a jak szczęśliwą zdawała się być! — jakiż niewinny, gołębi wprost wyraz tkliwości i ufności jaśniał w jej oczach, gdy mówiła o Bozi! Jakżesz młodziutką była — i och, jak starym czuł się, patrząc na nią! Wiedziała tak mało, — a on uczył się tyle i chociaż sam niewiele lat od niej był starszy, w umęczonej swej świadomości odczuwał, że spogląda na nią, jak stary człowiek na wesoło igrające dziecko.

— Chodźże — powtórzyła Jaśmina, — jej przeciągłe „chodź“ brzmiało jak słodkie gruchanie leśnego gołębia — i powstała z zielonego łoża, w którym snem nieprzespanym spała Marta Dumphy. — W kościele będzie chłodno, siądziemy sobie w ławkach i ty będzies mi opowiadał ślicne historje o niebie. Ty wies wsystko o aniołach, prawda? Jak one psylatują na ziemię całe bialutko ubrane i całują nas, gdy już śpimy w łózeckach? Czy ciebie juz kiedyś aniołek pocałował?

Samotne serduszko Lionela biło dziwnie mocno. Jego miał anioł ucałować! co za cudowny, słodki pomysł! Jakżesz mógł powiedzieć Jaśminie, której twarzyczka tak bliska była jego, że nie wierzy w anioły, jej, która sama wyglądała jak aniołek?! Odpowiedział jej więc na jej milutkie zapytanie krótkiem:

— Nie!

— Ja sobie myślę, ze na pewno! Pseciez ty nie jesteś niedobry chłopak, co?

Lionel zaśmiał się, lecz w jego śmiechu zabrzmiała nutka smutku.

— A może jestem niedobry, — i pewnie dlatego aniołki nie przychodzą do mnie.

— Moja matka jest aniołem — szczebiotała dalej Jaśmina, — ona nie chciała być dłuzej daleko od Bozi, i wtedy nagle jednej nocy odleciała do nieba, na białych skzydłach, z taką jasną gwiazdą na cole. Tatuś mówi, ze ona często, tak na minutkę psylatuje do nas w nocy i całuje mnie i Tatusia, kiedy my śpimy. Anntie Kate gospodazy teraz u nas w domu, odkąd jej niema.

— Więc ona umarła? — zapytał Lionel.

— Takze coś! Mówię ci psecie, ze została aniołkiem!

— Ale czyś ją widziała kiedy od tego czasu, gdy odeszła od was? — pytał chłopak dalej.

— Nie, nie byłam na to dość gzecną, — odparła dziewczynka z westchnieniem, które świadczyło, że małe sumienie nie było całkiem ze siebie zadowolone. — Jestem jesce bardzo mała, i... często niegzecna, ale jednego dnia zobacę ją z pewnością.

Na to nie umiał Lionel znaleźć odpowiedzi, i po chwili weszli oboje do kościoła.

Subtelny zapach „ogromnych lilij na ołtazu Bozi“ przywitał ich na fali chłodnego powietrza, które owiało ich, gdy weszli do wnętrza, zamykając za sobą ciężkie, dębowe wrota. Stanęli blisko wejścia, trzymając się za ręce, i poczęli spokojnie i poważnie rozglądać się po kościele. Patrzyli więc najpierw na stojące w wysokich złoconych wazach na głównym ołtarzu białe lilje, przywodzące swą czystą, dostojną bielą na myśl słowa: „Błogosławieni są czystego serca, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie“, potem na purpurowe, szafirowe i złotawe plamy, które rzucało słońce na kamienną posadzkę poprzez różnobarwne okna. Dębowe belkowania i rzeźby sklepienia, poczerniałego ze starości, świadczące o wielkiej starożytności kościoła, dziwnie tłumiło światło słoneczne, a uroczysta cisza, przesiąknięta modlitewnym szeptem wielu, wielu pokoleń, napełniała Lionela słodkiem, choć całkiem obcem mu dotąd uczuciem spokoju. Jaśmina silniej uścisnęła jego dłoń...

— Chodź do ławki — szepnęła — tam lezy miękka poduska i taka wielka, ogromna Biblja, pokazę ci jeden obrazek, mój strasnie kochany obrazek!

Lionel zaciekawiony nieco, jaki to skarb Jaśmina mu chce pokazać, dał się wciągnąć do stalli, czując, że będzie miał przygodę, godną tego skradzionego dnia świątecznego. Okazało się, że Jaśmina doskonale była obeznana z miejscem i sytuacją, bo wygramoliwszy się na ławkę z wielkim trudem i sapaniem ściągnęła z pulpitu wielką księgę i zataszczyła ją na leżącą na ziemi pluszową poduszkę. Potem skuliła się obok niej na ziemi i obróciwszy kilka kartek, kazała Lionelowi uklęknąć obok siebie i oglądać ją także.

— O, o jest tutaj! — zawołała z cichutkim uśmiechem zachwytu. — Pats! Pats, jaki ślicny chłopiec! — ty troseckę jesteś do niego podobny, co? A pats na tych bzydkich panów, to są tacy mądzy ludzie. A ten ślicny chłopiec mówi im, ze oni nie są tacy mądzy, jak oni myśleli, ze całkiem im się pokręciło w głowie z tych wszystkich ksiąg i mądrości, i opowiada im o tem, jaki Bozia jest dobry, i wszystko o niebie! Pats, jak oni wszyscy są źli na Niego i dziwią się, bo On jest tylko mały chłopcyk, a oni wszyscy są tacy dorośli. A to jest On, widzis, i On wie wsystko, cego te bzydkie, stare ludzie nie wiedzą, bo On jest mały Jezus.

Rysunek przedstawiał Chrystusa, wykładającego zakon uczonym w Świątyni, i Lionel oglądał go z namiętnym wprost zainteresowaniem. Tylko mały chłopiec! — a przecież w dziecięctwie Swem mógł uczyć tych, którzy uważali się za najmędrszych ludzi swej epoki! Chociaż być może — pomyślał Lionel ze zwykłym swym cynizmeml — nie byli oni naprawdę mędrcami, i dlatego nie było może z niemi tak trudno dać sobie rady.

Tymczasem Jaśmina napatrzywszy się dosyta swemu „strasnie kochanemu obrazkowi“, zamknęła księgę, z trudem a nabożnie złożyła ją na miejscu, a potem usiadła ze swym towarzyszem na najwyższym stopniu stalli.

— Jak się nazywas? — zapytała.

— Lionel — odparł.

— Lionel? Jak to śmiesnie; a co to jest Lionel, cy to jakiś kwiatek?

— Nie, to t w o j e imię oznacza kwiat.

— Pewnie! Bo to jak ja się urodziłam, to tego ranka przed Mamusi okienkiem kwitnął jaśmin, i dlatego nazywają mnie Jaśminą. Moje imię lepiej mi się podoba, niz twoje.

(C. d. n.)

Rewja modeli

Grand Palais. Salon d'Automobiles. Punkt trzecie. Właśnie godzina, na którą Paul Poiret zapowiedział rewję swych modeli. Sala przepełniona. Pod drzwiami siedzi portjer i nikogo nie chce puścić. Na prośby odpowiada filozoficznie:

— Przychodzić trzeba godzinę przed rozpoczęciem.

Pokazuję mu kartę dziennikarską:

— Nie będę mogła napisać...

— A ja, gorzej, muszę tu siedzieć i nic nie zobaczę.

— Ale pewno, że panie powinny wejść. Może ktoś zemdleje, to puszczę.

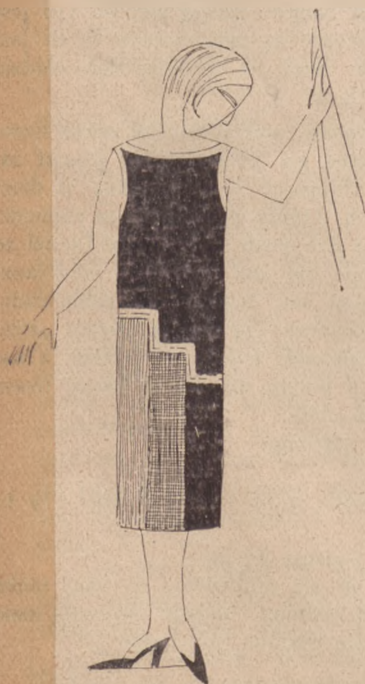
Na szczęście zaraz na początku mdleje kilka osób i dostajemy się na salę. Patrzę przez okienko między dwoma kapeluszami, ale moja towarzyszka, której nie dość patrzeć, bo musi rysować, wpada na bajeczny pomysł. Za aparatem rzucającym światło stoi stół — już jesteśmy na nim, pomimo protestów służby, że to niebezpiecznie. Od niebezpieczeństwa są ważniejsze rzeczy. Trzeba narysować. Trzeba napisać. A przytem tak chce się wszystko i dokładnie widzieć...



Z głębi żółtych portjer wysuwa się jedna figurynka za drugą. Przy dźwiękach muzyki małe nóżki kroczą rytmicznie. Kobieta-lalka podchodzi do publiczności, obraca się, robi kilka ruchów uwydatniających piękność linji jej sukni, dwa kroki w lewo, dwa w prawo i znika za kulisami. Jednocześnie z modelem wysuwa się *chasseur* i obwieszcza nazwę toalety. Ta ze złotej lamy, przylegająca do ciała, to „pochwa", to znów „królewska" suknia, a tamta szkarłatna „Lucyter".

A publiczność bije brawo, lub śmieje się wesoło, ironicznie, z oburzeniem. Coraz więcej, coraz więcej, zaczyna się mącić w głowie, trudno uchwycić sens — bezsensu mody. Ale na pomoc zjawia się sam pan Poiret i zaczyna mówić. Mówi rzeczy straszne: że oto jesteśmy w przededniu upadku mody, że właściwie od lat kilku nic, albo nieomal nic się nie zmienia. Nam, profankom, zdaje się, że wciąż następują zmiany, bo z każdym sezonem mamy nowe kłopoty, jednak dla twórców mody to zamało! Trwa, utrzymuje się zasadnicza prosta linja sukni, dzięki której kobieta obywa się bez krawca. Pójdzie do wielkiego magazynu, kupi na wyprzedaży kupon materji, ułoży go na swej przyjaciółce, podepnie raz z lewego, drugi raz z prawego boku, pasek da trochę wyżej lub trochę niżej i już ma nową tualetę.

Pan Poiret bardzo poważnie się oburzył. Przemysł francuski upada. Paryż traci w oczach całego świata prestige jako stolica mody, tysiące robotnic bez zajęcia. Mówi wzniosłe słowa, a myśli: moja firma świeżo przeniesiona na pola Elizejskie... I dalej peroruje: kobieta wyzwoliła się od krawca. Temu trzeba zaradzić. Trzeba wprowadzić nowy krój sukni, ażeby nie dość było kupić kawał materji i upiąć go na przyjaciółce. Pomysłowy krawiec w zmartwieniu swem nie znajduje innej rady, jak udać się po wzory do przeszłości. Wychodzi sześć pięknych dam z lat 80-tych, takich, jakie znamy z fotografij naszych ciotek. Zerwały już z krynoliną, ale mają turniury, mnóstwo falban, falbanek. Tu suknia podpięta kwiatem, tam znów kokarda. Czasem







tych kokard śmiesznie dużo. Biała jedwabna suknia, od góry do dołu, od brody po pantofelki, ma zielone, niezgrabnie upięte kokardy. Tak się nam przynajmniej zdaje, pewno ciotki zachwycały się niemi? Może się to i dziś komu podoba, ale jak w takiej sukni jechać metrem, skąd wziąć siły na dźwiganie, a pieniądze na kupienie tylu metrów materjału, gdzie, w naszem gorączkowem życiu, znajdzie się czas na zapięcie kilku tuzinów haftek?

Więc pan Poiret tak sobie wykombinował: Niech dalej będą suknie wąskie, opięte, krótkie, tylko na pamiątkę turniury da się olbrzymie pukle wstążek, takie, które tylko zawodowa ręka zawiązać potrafi, na pamiątkę trenów jakieś długie, wlokące się po ziemi języczki, a całość musi mieć staranne, nie „dyletanckie" wykończenie. I, ostrożnie: Zacząć od sukni balowej. Wiadomo przecież, że ubranie jej wymaga więcej czasu i że w tej dziedzinie każda kobieta pozwoli sobie na fantazję. A gdy oko się przyzwyczai i kobieta, w tej nowej formie, podoba się mężczyźnie na nowo, inaczej, to napewno uzna tę modę za praktyczną. wygodną — wprost jedyną.

Trochę klaskano, a trochę się śmiano z tych dam, ale wszyscy się bardzo cieszyli, gdy znów wbiegły na scenę zręczne, swobodne, zawsze młode w prostych sukniach — dzisiejsze panie. I tak się prędko zapomniało o fantazjach pana Poiret! Tem bardziej, że gładka suknia tyle ma pola do dekoracji... Poezja materjału, pomysłowość haftów, zresztą w tem mogą też być ciągłe zmiany. Choćby rękawy, które zaczynają wracać. Są bardzo wąskie, obcisłe, przylegające, albo zupełnie luźne, układając się miękko, niektóre wyloty spływają lekko z ramion, są też tak długie, że biegną daleko poza paluszki, odwija się je, odrzuca, nieomal drapuje niemi. Wogóle bardzo ciekawe pomysły właśnie „drapowania" sukni widzieliśmy na modelach Poiret. Wchodzi wąska postać, oblepiona ciemnym materjałem. Jednym ruchem odpina sobie kawałek spodniczki, podbity innym kolorem, rzuca go na ziemię, że biegnie za nią niby zwierzątko na łańcuszku, a potem zapina gdzieś, koło. ramienia i fałdy spadają na wąskie rękawy. To zawijanie się i rozwijanie pełne wdzięku, niespodzianek i... złych myśli szczególniej powtarza się w płaszczach wieczorowych. Bardzo często płaszcze te można też ułożyć na drugą stronę — jedna zwykle jasna, druga ciemna i uzyskuje się przytem niezwykłe efekty.

Wracamy znów do sukien kombinowanych z dwóch materji, co przypomina wiadomą, ze smutnej konieczności wynikającą modę, kiedy to z dwóch podniszczonych tualet robiło się trzecią. Teraz to fantazja, nie konieczność. Na gładką suknię narzuca się inny kawałek materji, barwny, tworząc ornacik, pelerynkę, boczek lub tuniczkę. Bardzo ciekawą innowacją jest suknia obcisła, z przodu gładko na guziczki zapięta, rozchodząca się niżej pasa. Przez otwarcie widać fartuszek z lżejszej materji. Rękawy takież same, luźne, długie.

Balowe suknie mają wycięcie z tyłu. A raczej nie mają wycięcia, tylko mają ładne, ładnemi sznurami pereł oplecone — plecy, spodniczka krótka, długi tren z tyłu, boku, nieomal z przodu. Lamy srebrne i złote przetykane kolorami zawsze modne, ale prócz tego jest nowy rodzaj materji, trykot srebrny, który wygląda niby zmięta lekko, lub delikatnie prążkowa lama. Obejmuje ciało, jak całun, jednolicie, pozornie bez szwu. A gdy się go uniesie lekko palcami, w tem lub innem miejscu, to suknia rozwija się jak wachlarz i przelewa się po niej światło srebrną falą.

A. WYLEŻYŃSKA

Paryż, w styczniu 1925

NOC

Noc granatowa nade mną, nad Tobą noc granatowa.
Mokro, pochmurnie i ciemno. Księżyc za chmury się chowa.
Niby żałobne pochodnie-latarnie migocą w ciemności.
Lęgną się wpół-samorodnie sny wyuzdanej miłości.
Za szybą kędyś w oddali w szantanie jazzband łomoce.
Upojny grzech serce pali. O noce jesienne, o noce!

Kamienic wysokie kontury uśpione kryją miljony.
Od rzeki świst wichru ponury blaszany szyld chwycił w szpony i
na haku pan malowany piszczy żałośnie i łzawie:
Ach! Zerwij mnie wreszcie z tej ściany, powiesił mnie tutaj mój krawiec!
U szczytu domów świetlane litery w oczy migocą,
mówiąc, gdzie spić się szampanem i jak zabawić się nocą!

Krok słychać za mną w zaułku niewidzialnego przechodnia.
Może ktoś u drzwi przytułku niemowlę podrzuca? Lub zbrodnia
za chwilę krzykiem rozpaczy targnie czarnemi szybami
i nawet Bóg nie zobaczy — noc taka czarna nad nami.
Bo on swoje oczy widzące utkwił w prażródle wszechrzeczy
w rajskiej zobaczył się łące. Nie dojdzie go skowyt człowieczy.

Latarnię czerwoną podpiera zmęczona śmiertelnie kobieta,
w płuca i w serce się wżera wyziew benzyny i błota.
A ponad olbrzymem stolicy, ponad tych ulic tysiącem,
przesuwa się postać dziewicy w pożarze łun gorejącem,
przybrana w mgły gronostaje, złoci się cała, czerwieni....
....Poznaję Ciebie, poznaję: Daleka, polska jesieni!

Paryż, w listopadzie 1924 r.

TAD. M. NITTMAN

PRZED BALEM

Gorącem pragnieniem każdej kobiety jest piękny wygląd na balu. Niema w tem chyba nic dziwnego — i lepiej jest raczej nie iść wcale, aniżeli wyglądać brzydko.



Jednak nie każda z pań wie, jak się zachować, ażeby na taki wieczór wydobyć maximum urody ze swego typu — a prawie wszystkie pracują w kierunku wprost przeciwnym. Twierdzenie takie może się niejednej z uroczych naszych Czytelniczek wydać paradoksem — niemniej jednak nie mija się ono, niestety, z prawdą.

Piękny wygląd, poza umiejętnie dobraną toaletą w barwie i fasonie — zależy w lwiej części od wypoczynku ciała. Tymczasem panie nasze do ostatnich dni przed balem tyle mają kłopotów, bieganiny, sprawunków i wzruszeń przy każdem zakupnie, że musi się to w końcu odbić ujemnie na ich wyglądzie w krytycznej chwili. A cóż dopiero dzieje się zazwyczaj w ostatnim dniu? Zdenerwowanie dosięga zenitu — wychodzą na jaw liczne braki — okazuje się potrzeba drobnych poprawek przy sukni — a w konsekwencji? Rozdrażnienie, niepokój w całym domu, konieczność wyjścia do miasta za koniecznemi sprawunkami i gonitwy od sklepu do sklepu.



Tymczasem, toaletę balową po dokładnem wypróbowaniu i przymierzeniu, wraz z wszystkiemi najdrobniejszemi dodatkami od malutkich stópek do pięknej główki, trzeba mieć conajmniej 2 dni naprzód przed terminem balu. Również na stoliku toaletowym nie powinno braknąć niczego, czegoby w ostatniej chwili trzeba szukać — od szpilek do włosów, żelazek, agrafek, nożyczek, pilniczków, proszku do paznokietków, rozpylaczy — aż do pudru, perfum, wody kolońskiej i innych dyskretniejszej natury pomocników piękności. Nawet jedwab w kolorze sukni, igły i naparstek powinny być pod ręką. Wszystko to ustawione niby żołnierze w bojowym ordynku gotowe do walki w każdej chwili!



A te dwa ostatnie dni przed balem poświęcić absolutnemu odpoczynkowi, w błogiem przekonaniu, że wszystko w zakresie przygotowań toaletowych jest w najidealniejszym porządku i żadne niemiłe niespodzianki nie grożą z tej strony. Dzień przed balem, wieczorem, wziąć ciepłą kąpiel z następującym krótkim zimnym tuszem — natrzeć całe ciało, jeszcze napoły wilgotne, olejkiem i wytrzeć je energicznie ręcznikiem na sucho tak, ażeby czuć wyraźnie żywe, przyśpieszone krążenie krwi. Następnie wytuszować twarz gorącą i zimną wodą w następujący sposób: zmniejszyć prąd wody tak, ażeby spływała niby krople deszczu — pod ten gorący deszcz podsuwać twarz i cofać przez przeciąg 5 minut, a potem w ten sam sposób poddać działaniu zimnego tuszu przez trzy minuty. Nie osuszać dokładnie, lecz na wilgotne policzki wcierać lekko krem, szczypiąc je puszkami palców delikatnie. Gdy policzki zapłoną miłem ciepłem, wytrzeć je miękkim ręcznikiem a następnie wyszczypać również delikatnie uszy — i zaraz ułożyć się do snu. Na drugi dzień wstać późno — nie myć twarzy, szyi i ramion, lecz wytrzeć je tylko lekko mąką pszenną lub miękuszką bułki. Dłonie natychmiast po umyciu natrzeć kremem, włożyć na nie niezbyt ciasne rękawiczki i pozostawić, o ile możności, przez cały dzień. Zapobiega to brzydkiemu sinieniu i czerwienieniu rąk wieczorem. Tego dnia nie wychodzić już nigdzie, lecz w dobrze przewietrzonym i ogrzanym pokoju leżeć, jak można najwięcej. Nie dopuścić do oziębienia ciała ani na chwilę — bo zimno to nieprzebłagany wróg pięknej karnacji. Ponieważ najwięcej ziębną nogi, bacznie uważać na nie i o ileby ochłódły, natrzeć je mocno szorstkim ręcznikiem do czerwoności, włożyć miękkie pantofelki i owinąć ciepłym szalem lub kocem.



Blask oczu osiągnąć można przez przewiązanie ich czarną aksamitką w ciągu kilku godzin po południu. Jest to niezrównany sposób przymusowego odpoczynku przez usunięcie światła i niemożliwości najdrobniejszego chociażby ruchu źrenic.

W ciągu robienia toalety zachować spokojną pewność dobrego wyglądu — nie denerwować się — nie śpieszyć, a tuż przed samem wyjściem wypić kieliszek starego wina, albo koniaku.

Proceder taki daje zadziwiające rezultaty: aksamitną cerę o różanym odcieniu, blask oczu i młodociany wygląd.

I jeszcze dwie dyskretne uwagi...

Pierwsza — dyskretna i poetyczna — nie całować się w tym dniu — zostawić „na potem"...

Druga — aż się boję, co za gromy opadną na mnie za śmiałość moją — za prozaiczność — ale mimo to — dla dobra uroczych Czytelniczek „Świata Kobiecego" odważę się na najsroższą burę i dyskretnie wyszeptam do uszka: oto — funkcje trawienia muszą być w porządku. Inaczej nic z dobrego wyglądu! Jeżeli ktoś cierpi na — powiedzmy najcichszym szeptem — nieregularne wypróżnienie, koniecznie musi zaradzić temu na 2 dni naprzód. Środek powinien być łagodny. Nie można nigdy dosyć zaznaczać ważności tej sprawy i jej niezaprzeczonego wpływu na korzystny wygląd, na poczucie swobody i lekkości ciała, zwinności ruchów, oraz na — dobry humor. *A. Z.*



PROBLEM SUKNI BALOWEJ

Cała gama uczuć kryje się poza temi — zdawałoby się — zwykłemi dwoma słowami: suknia balowa...

Ileż zainteresowań, marzeń, poszukiwań gorączkowych i rozkosznych nadziei z jednej strony, a z drugiej — i to niezbyt rzadko nawet — rozczarowań, trosk, smutków lub też przyznajemy to szczerze, drobnych ukłuć zazdrości. Bo przecież każda kobieta ma budżet toaletowy ograniczony.

Piękne Czytelniczki! Któżby Wam w tej opresji tak gorąco pragnął pomóc i radą służyć, jak nie wasz „Świat Kobiecy?“

A czas już najwyższy zastanowić się nad tą kwestją, bo karnawał zbliża się szybkim krokiem — i biada tym, które zostałyby nieprzygotowane! Postaramy się rozwiązać problem w najwyższej oszczędności z wyrafinowanym szykiem.

Żadna nawet najrozsądniejsza kobieta nie oprze się chęci ukazania się w tych cudach, godnych Kopciuszka z bajki, które przygotowała nam dziś moda. Wyczarowane fantazją poetów wschodu przepyszne tkaniny wodzą serca niewieście na pokuszenie. Widzimy niebywałe dotąd kombinacje dwóch materjałów przetkanych razem i tak: *velours chiffon* na *crêpe Georgette*, lama z *velours chiffon*, to znów *crêpe Georgette* z lamą, lamy złote, srebrne i różno-kolorowe, tkaniny metaliczne o motywach nie do wysłowienia — a wszystko to miękkie, wiotkie, które doskonale obciskając ciało, wiernie modelują wysmukłe kształty. Wszystkie zaś jedwabne materjały *dernier cri* są niezwykle błyszczące, a króluje wśród nich ulubienica sezonu *la fulgurante*. Przepiękne i efektowne choć bardzo tanie są krepy perliste o młodocianym wdzięku.

Jako przybranie wdzięczą się do nas mieniące *paillettes*, perełki kryształowe niby krople rosy, perełki szklane, opalizujące, różnokolorowe paciorki, czy to jako tkaniny, czy wstawki lub też motywy i frendzle, wszystko to użyte niejednokrotnie w takiej ilości, że suknie toną w powodzi blasków. Dalej — strusie pióra, marabuty, hafty, futra, wstążki a nadewszystko — koronki! Obok starych, prawdziwych koronek — nowoczesne, metaliczne, cieszące się szalonem powodzeniem. Są wśród nich złote, srebrne, stalowe a i kolorowe również. Przecudne są koronki angielskie *Notingham* szerokości 90 cm, nadające się *caprs* i stosunkowo nie drogie, bo za metr 22 zł.

A co najważniejsze, że wszystkie wymienione tu tkaniny można dostać u nas w wielkim wyborze. Jak to mieliśmy sposobność przekonania się o tem w znanej lwowskiej firmie: Józef Litwinowicz, Halicka 21, której uprzejmy właściciel urządził dla Redakcji „Świata Kobiecego“ specjalny pokaz swoich bogatych zapasów karnawałowych.

Więc o co nam chodzi w poruszeniu problemu sukni balowej? O to, ażeby z jednej toalety zrobić można własnoręcznie kilka transformacyj, zmieniających suknię nie do poznania. Rozwiązanie tej kwestji nie przedstawia wielkich trudności, z powodu korzystnego kaprysu mody, nakazującego jako zasadniczą podstawę sukni nader obcisłe *fourreau*. Na takim to *fourreau* tworzyć można efektowne zmiany, bez pomocy krawczyni, ale za to — fantazji i — śmiałego polotu.



A więc weźmy jako przykład *fourreau* z *fulgurante* czarnej lub białej, bo są to kolory najbardziej nadające się do projektowanych zmian. Obrazeczki nasze ilustrują tę myśl i pomogą Wam, urocze Czytelniczki, w zorjentowaniu się dokładnem. Dajemy zasadnicze *fourreau* — i szereg przybrań, tworzących każde dla siebie coraz nowy model, nową kreację. Gdyby jednak miała któraś z Czytelniczek niepewności co do szczegółów — to wystarczy przysłać nam liścik, a odpowiemy natychmiast wyczerpująco.

I jeszcze jedno, młode panienki chciałyby zapewne też na skromniejszych zebraniach ukazać się w sukienkach pełnych wdzięku i modnych. Otóż niezrównana w prostocie a bardzo tania byłaby ze śnieżnej krepy perlistej (metr 11 zł. — szer. 95 cm), a modele z nr. 14-go „Świata Kobiecego“ 5933 i 5931 mogłyby służyć za wzór. Wogóle *genre chemisier* z szarfami i małym dekoltażem.

ROBOTY

Rys. 1 i 3. ***Garnitur do sypialnego pokoju,*** *względnie pokoju panieńskiego, składający się z kapy na łóżko (rys. 3) i firanki lub story. Haft łatwy na batyście lub markizecie w kolorze pomarańczowym, zielonym lub różowym, może być też zawlekany na tiulu białą bawełną (modna dziś bardzo robota). Brzeg dziergany w duże zęby. Z podanych na dodatkowym arkuszu wzorów można z łatwością skombinować dalsze ornamenty. W następnym numerze podamy szczegóły wykonania w kilku rodzajach.*

Rys. 2. ***Milieu*** *(połowa, grube, białe płótno około 90* cm^2*). Służy jako materjał. Zdobi je haft czarny, zielony i czerwony, wykonany ściegiem płaskim, gałązkowym i węzełkowym bawełną do prania. Pojedynczy obręb służy jako zakończenie brzegiem. Wzór nieco zmodyfikowany daje się zastosować do haftu białego ściegiem „Janina“ i angielskim oraz atłaskowym na cienkiej webie, lub białym batyście. Dla ozdoby sprzętów jadalnego pokoju brzeg obszywa się klockową koronką.*

Rys. 1



Rys. 2

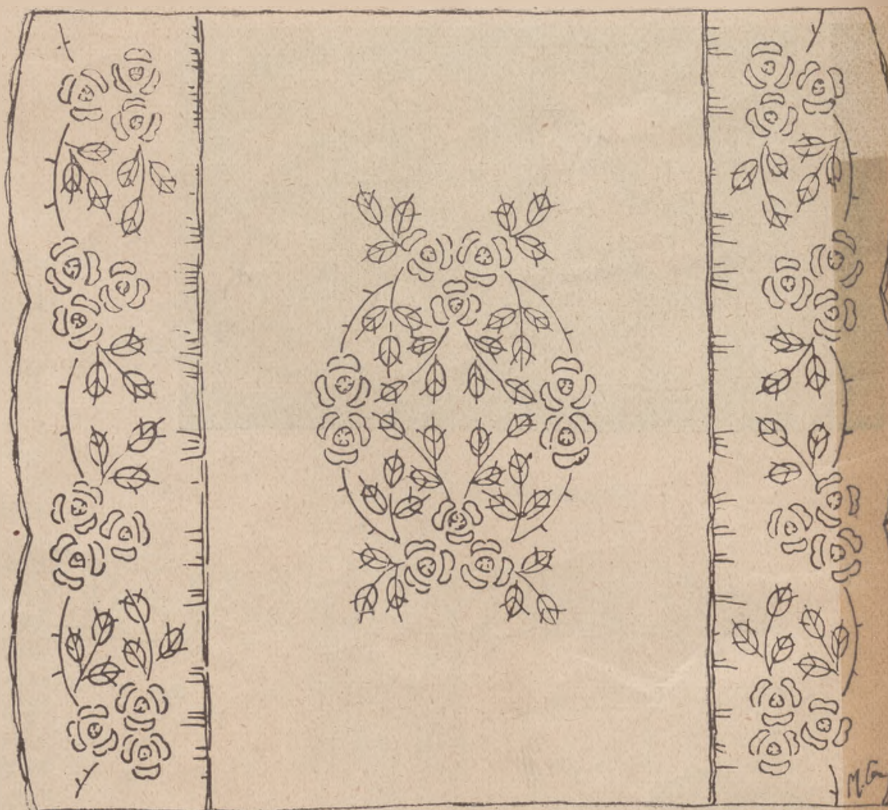
Do tego numeru załączamy tablicę wzorów (do prasowania), zawierającą wzór lambrekinu (rys. 1), wedle którego da się skombinować stora, firanka, kapa na łóżka i t. d.

RĘCZNE

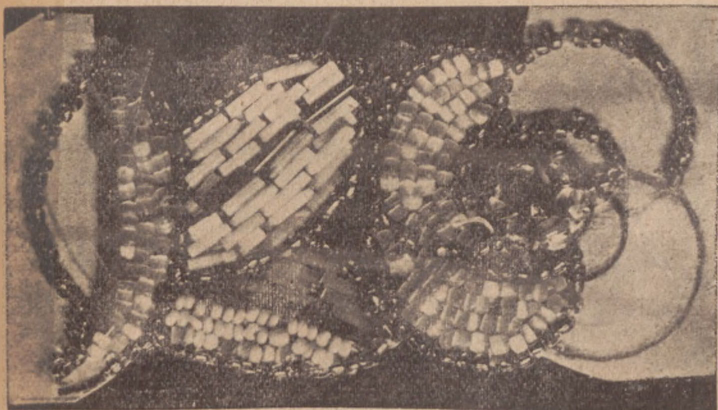
Rys 3. ***Kapa na łóżko*** *(zobacz opis rys. 1)*

Rys. 4. ***Chusteczki do nosa z białego batystu*** *ozdobione haftem atłaskowym, Richelieu, gipiurowym, brzeg dziergany lub szydełkowany, może też być maszynowo przydziergany Wzory do prasowania „Wanda" do tych chusteczek dostarcza „Świat Kobiecy" lub można nabyć w odnośnych sklepach. Chusteczki nr. 1, 6, 7, 10, 11, 12 i 13 zawarte są we wzorze nr. 13*
„ 4, 8 i 9 „ „ „ „ „ 14
„ 2, 3 i 5 „ „ „ „ „ 15
Cena wzoru nr 12 zł 1·80, wzory nr 14 i 15 à zł —·80.

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela Redakcja



Rys. 3



Szczegół do rys. 1

ROBOTY

Na szczególe widać: wyszyty kontur, częściowo pokryty haftem liść i połowę kwiatu oraz częściowo usunięty karton. (Wielkość więcej niż naturalna)



Rys. 1



Rys. 2

Rys. 3

OZDOBY FRYZUR BALOWYCH

Rys. 1. **Przybranie głowy dla młodych panienek.** Haft paciorkami. Do wykonania tej ozdoby potrzebny pasek białego cienkiego kartonu, naklejonego na biały muślin szer. około 5 cm a długi 40 cm. (Do klejenia, rozrobić łyżkę białej pszennej mąki z wodą na gładką papkę, postawić na gorącej kuchni, mieszając wciąż, aż się zrobi przeźroczysta.) Po wyschnięciu przenosi się wzór naturalnej wielkości i naszywa kontur srebrnemi lub złotemi drobnemi paciorkami. Liście kryją blado-zielone rureczki a kwiaty w dwu cieniach różowych drobne paciorki. Środki kwiatów zdobią większe korale lub łuseczki. Barwy kwiatów stosowne do sukni, ozdoba może być wykonana również biało, i tak kontur metalowy, a ornament wypełniony matowemi i kryształowemi paciorkami.

Gotowy haft smaruje się z lewej strony jeszcze raz papką i po wyschnięciu wycina się zbyteczny karton, tak, aby haft ażurowo leżał na włosach, można go też umocować na metalowej lub jedwabnej wstążce.

Rys. 2. **Przybranie głowy dla mężatki.** Haft w kształcie djademu wykonywa się podobnie jak poprzedni, z tą różnicą, że można zastosować bardziej świecące i szlifowane perły, zaboszony i łuseczki. Piękne są zestawienia szlifowanych *pierre de strass* ze złotem, stali z ametystami, czarnego dżetu ze złotem i t. p., zależnie od barwy i charakteru sukni.

Gotowy wycięty haft podszywa się metalową lamą, wzgl. czarną krepą chińską lub aksamitem.

SPIĘCIE SUKNI BALOWEJ

Rys. 3. Haft paciorkowy wykonany jest podobnie jak przybranie fryzur (rys. 1 i 2). Motyw uzupełnia frendzla paciorkowa, zrobiona z rurek i sieczki paciorkowej. Barwy mogą być rozmaite, dostosowane do sukni, najlepiej wyglądają z kryształowych i mlecznych albo ze srebrnych lub złotych koralików. Można wykonać też ze stalowych lub czarnych paciorków (w ostatnim wypadku należy użyć czarnego kartonu jako tła). Frendzlę wykonuje się w ten sposób, że na zakończenie sznurka o nawleczonych paciorkach nabiera się większą perłę i, pomijając ją, wraca igłą i nitką przez wszystkie paciorki zpowrotem.

KARNAWAŁOWE

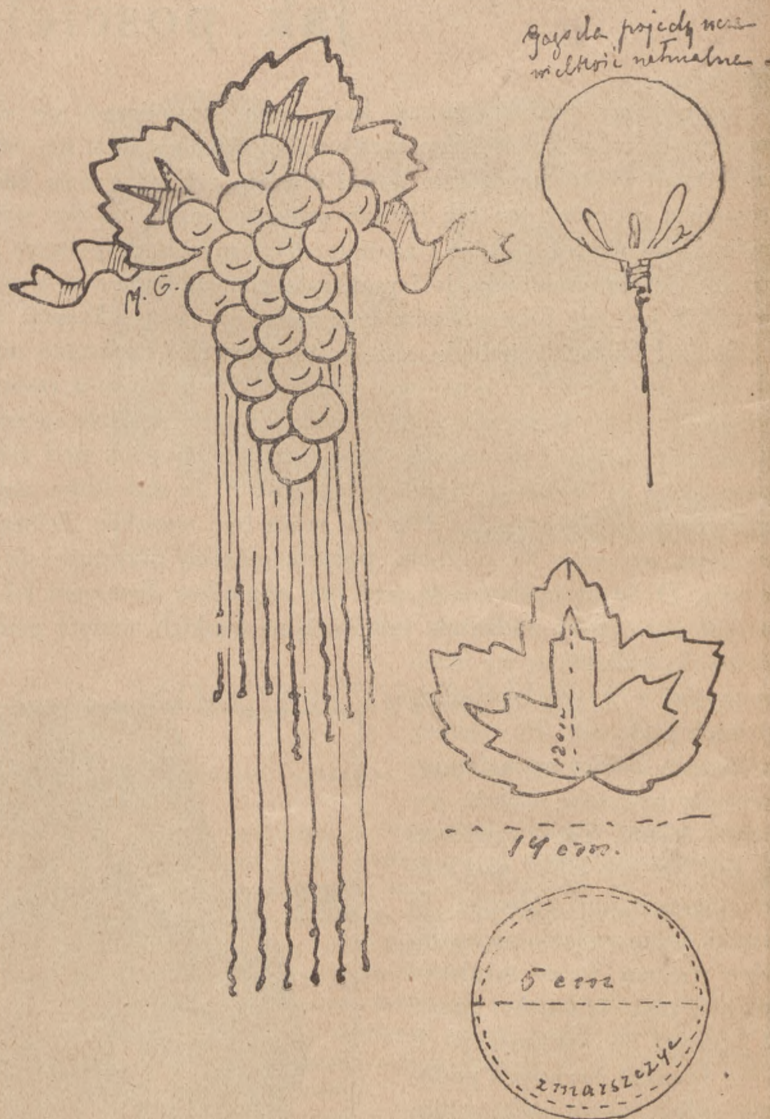
GRONO DO OZDOBY SUKNI BALOWEJ

Rys. 4. Do wykonania tej ozdoby potrzeba miękkiego aksamitu, albo jedwabiu lub gazy srebrnej czy złotej. Grono składa się z pojedynczych jagód, do których wykonania wykrawuje się odpowiednią ilość kółek z materjału wyżej wymienionego o średnicy 5 cm. Z waty wyrabia się kuleczki i obleka je zmarszczonym wokoło kółkiem materji. Nitkę marszczącą mocno naciąga się i zaszywa, w ten sposób formuje się okrągła jagoda. Cienkim miękkim drucikiem okręca się strzępki pod spodem i owija nitką zielonego rozkręconego jedwabiu. Gotowe jagody układa się w grono i związuje drucikiem niewidocznie. Jako tło służy liść wykonany z srebrnej lub złotej gazy, podłożony środkiem taftą zieloną, którą się wzdłuż konturu taką samą nitką stebnuje i wycina. Gaza metalowa daje się łatwo nagiąć i nadać należy liściowi trochę plastyki. Po obu stronach można umieścić lekko skręcone metalowe wstążki. Całość układa się na frendzli ze sznelki jedwabnej, składającej się z dwu warstw, a każda ma na końcu kilka węzełków, które można pomalować srebrną lub złotą farbą. Frendzla metalowa da się zastąpić kiścią piór strusich.

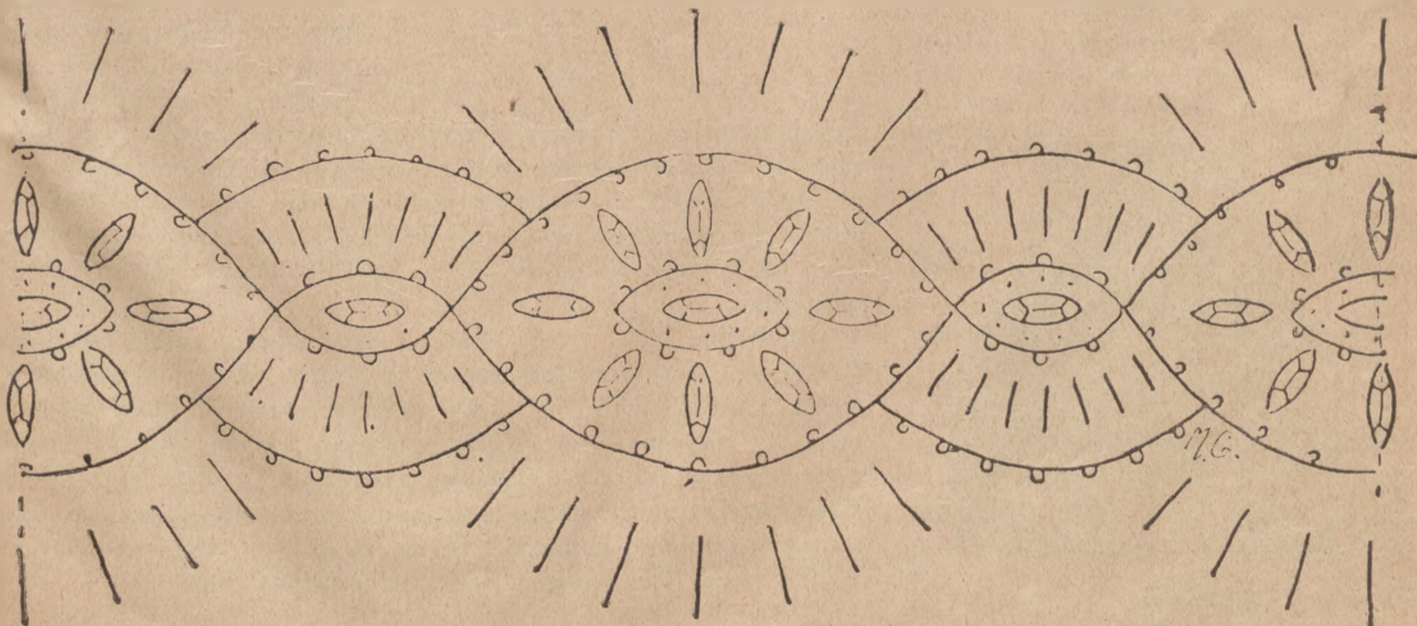
Gałąź taką można wykonać w barwie sukni, można też kombinować kontrastowo, np. złoty liść, grono fioletowe, frendzla lila lub zielona ze złotem. Efektownie wygląda też kombinacja czarnego aksamitu ze stalą lub starem złotem i t. p.

GALONIK DO WYSZYCIA PACIORKAMI

Rys. 5. Wykonuje się drobną sieczką, rurkami i podłużnemi kaboszonami, wielkość naturalna, ewentualnie może być wzór nieco powiększony.



Rys. 4



Rys. 5

Jak pościelę łóżka?

Powojenny brak mieszkań każe nam ograniczać się do jak najmniejszej ilości pokojów, wskutek czego często pokój sypialny staje się naszym buduarem lub gabinetem, w którym czasem nawet musimy przyjąć gościa lub przynajmniej przeprowadzić go przez ten tak bardzo osobisty pokój. Łóżko wystawione na sposób angielski na środek pokoju i zaścielone na sposób dotychczas przyjęty lub nawet postawione skromnie w kącie i przykryte ciemną kapą razi w pokoju, wystawionym na widok obcych. Dlatego witamy z radością głosy z Francji, które wołają: Precz z łóżkiem! Niekażdy jednak może sobie pozwolić na kupno nowoczesnej otomany, lub chce się rozstać z swem wygodnem łóżkiem, które w razie choroby nie da się niczem zastąpić. A sprytne główki nad Sekwaną znalazły sposób na to. Idźmy więc za ich przykładem i stawiajmy łóżko o niskich nogach pod ścianę. Jeżeli nogi naszego łóżka są wysokie, dajmy je skrócić, o ile styl łóżka zbyt kategorycznie się temu nie sprzeciwia. Łóżko-sofa nie może być wysokie. Ścianę za łóżkiem obijmy sztywnym papierem lub płótnem, poczem możemy przystąpić do przeobrażenia łóżka na sofę. O ile szczęśliwsze są pod tym względem Francuski lub Włoszki. Nie znają naszych ogromnych poduszek, tylko śpią na wąskich, małych poduszkach, podobnych prawie do wałków, a my musimy myśleć o ukryciu nad miarę wielkich poduszek. Po równem zaścieleniu kołdry na materace, opieramy poduszki o obitą papierem ścianę. Teraz zawieszamy nad łóżkiem kilim, nad którym umieszczamy półeczkę na książki. Kilim zasłania poduszki, które tworzą teraz miękkie oparcie, zaściela łóżko i spada na podłogę, jak wskazuje ryc. 1. Kilka ładnych barwnych poduszek zdobi nową sofę, która nadaje się doskonale do gabinetu lub buduaru o poważniejszym tonie. Weselej i kapryśniej przedstawia się kanapka ryc. 2. Tutaj umieszczono większe trochę poduszki koło poręczy, które zakryto wraz z całem łóżkiem dużym szalem tureckim lub jakąś tkaniną. Draperja ze stosownej materji zdobi mur, poduszki uzupełniają ten miły sprzęt naszego buduaru.



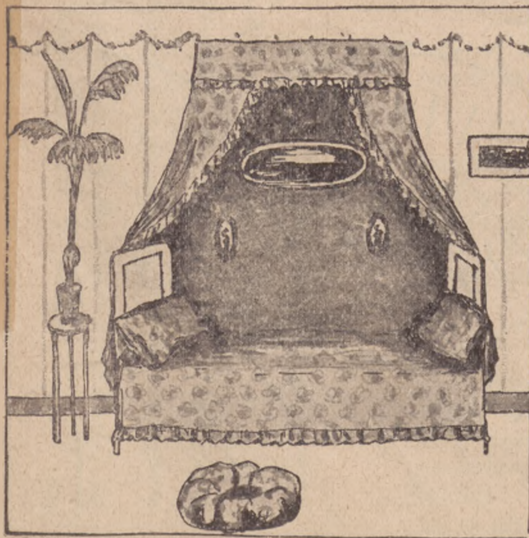
Ryc. 1.



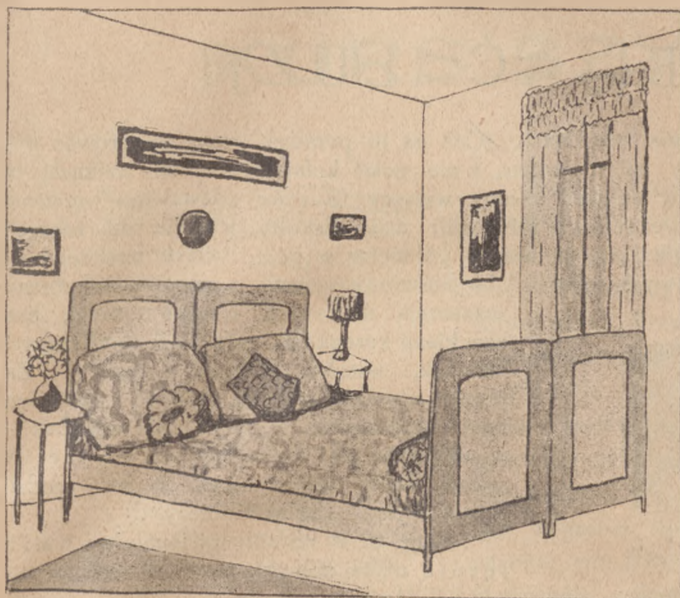
Ryc. 2.

Panienki zechcą także naśladować najnowszą modę. Nie mając w swym pokoiku kilimów i kosztowniejszych tkanin, będą zadowolone, gdy ujrzą na ryc. 3 jak ślicznie można ubrać łóżko kretonami. Miękkie poduszk złożono w pół i wsunięto do poszewek z kretonu zapinanych na zatrzaski i ułożono wzdłuż poręczy. Kreton oraz zasłonk z tegoż materjału zdobią ścianę na której umieszczono kilka wesołych obrazków: Fantazja i zręczność naszych Czytelniczek stworzą zapewne mnóstwo odmian sof-łóżek, zastosowując to, co mają w swych zapasach. Niejedna wydobędzie z ukrycia stare, pogardzone łóżko, odświeży je i przeistoczy w śliczny mebelek. Nasze ryciny niechaj służą tylko jako ogólne wskazówki, które wywołać mogą mnóstwo nowych pomysłów.

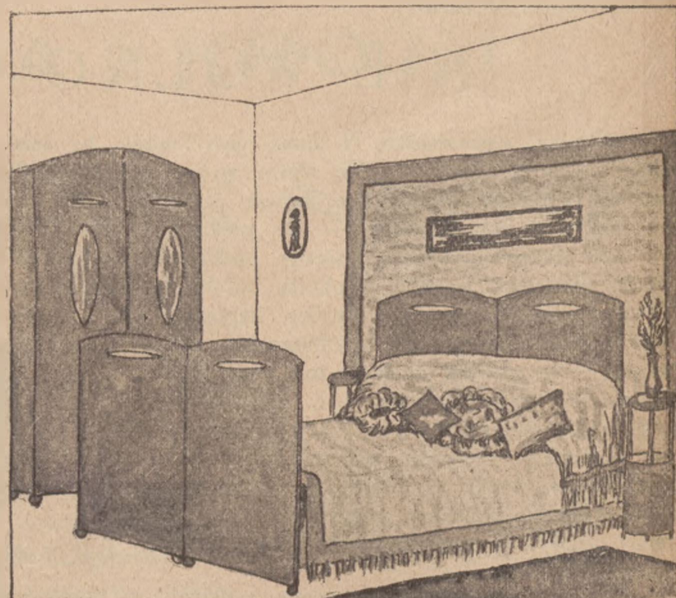
Podwójne łóżka trochę trudniej zamaskować, aniżeli pojedyncze lecz czasem niemożliwe jest ustawić je inaczej. Na ryc. 4 widzimy, jak można zaścielić podwójne łóżko wzorzystą tkaniną, którą wsuwa się pomiędzy materace a boki łóżek. Poduszki wkłada się do poszewek z tego samego materjału. Bogaciej przedstawia się łóżko ryc. 5. Tutaj łóżka przykryto szalami w ten sposób, że jednym zaścielono łóżka a drugim przykryto poduszki. Ścianę za łóżkami zdobi podobny szal. Tu jak i tam kilka pięknych poduszek uzupełnia całość.



Ryc. 3.



Ryc. 4.



Ryc. 5.

NA CZEM POLEGA WYCHOWANIE?

W pożyciu domowem naszych rodzin jest dużo nierówności. Charaktery w ściślejszem gronie nie krępują się, „wyłażą nawierzch" wszystkie ich brzydoty. Osoby gładkie i układne w salonie, w domu umieją rzucać się, gderać, są ordynarne, kłótliwe. Nie czuwają nad sobą. Dla obcych ma się suknię jedwabną i smoking, dla swoich — brudny szlafrok i zdeptane pantofle.

Tymczasem zachowywanie form i powściągliwość w pożyciu domowem daje dużo zadowolenia i szczęścia. Jednem z najgorszych cierpień jest brzydota. Czasem piękne cierpienie mniej niszczy człowieka, niż rzeczy mdłe, brzydkie, upokarzające, które napełniają go wstrętem do siebie i otoczenia.

Człowiek, działający harmonijnie, rad jest z siebie, podoba się sobie. Człowiek, urządzający ciągle w domu zrzędliwe piekło, czuje się niedobrze, nie lubi w końcu samego siebie, a pozbyć się siebie nie może. Cóż gorszego, jak być ciągle z tem swojem nieprzyjemnem „ja"?

Im bliższe stosunki, tem bardziej powinny być zachowane prawidła dobrego wychowania i delikatności wzajemnej. Inaczej wyrasta ta niemaskowana, niemyta ohyda życia mieszczańskiego w rodzinach, którą już nieraz wywlekały komedje, jak np. u nas — utwory sceniczne Zapolskiej.

Czuwanie nad sobą i ciągłe okiełznywanie siebie szczególniej jest obowiązkiem każdego z członków w rodzinie tam, gdzie są dzieci.

Rodzice sądzą, że autorytet ich jest tak wielki, że dzieciom nie przyjdzie na myśl krytyka ich postępowania. Dzieciom się mówi: — Gniewać się jest nieładnie! — a w parę minut potem ojciec lub matka poddaje się najdzikszemu, a często niesłusznemu wybuchowi gniewu. Bić się jest nieładnie! — mówi matka do dwóch malców, załatwiających w drodze boksu drobnemi piąstkami porachunki za zabawki — a wkrótce potem: — Pac, pac! — leci grad klapsów na dzieci, dla poparcia tej maksymy moralnej.

W głębi każdy, dający folgę swej niepowściągliwości i zniecierpliwieniu, czuje, że jest nie w porządku. Ale co tam — dorosłych nie obowiązuje ta sama miara, co dzieci. *Quod licet Jovi, non licet bovi.*

Dzieci podrastają i uciążliwe objawy charakteru rodziców, które tak zatruwają im życie domowe, zwolna zmniejszają ich szacunek dla opiekunów. I co najgorsze — dzieci powtarzają wszystkie wady, wszystkie niedoskonałości starszych, które na ich młodem istnieniu zaciążyły.

Rodzice zapominają, że nauka słowna nie uczy niczego. Maksymy abstrakcyjne wcale się nie czepiają mózgu dziecinnego. Pedagogowie, wymęczywszy pokolenia całe, nareszcie zrozumieli to i wyrzucają ze szkoły werbalizm, ucząc dzieci zapomocą doświadczeń, pokazów, rysunków, wprowadzając nawet częściowo metody szkoły pracy. Nauka poglądowa jest metodą jedynie skuteczną.

Jeżeli chcemy nauczyć dzieci, żeby postępowały dobrze i doskonaliły się, nie wystarczy wygłaszać im na każdym kroku: — Kochaj braciszka! Trzeba dogadzać mamusi, żeby się nie martwiła! Nie trzeba się gniewać! Bądź dobrym!

Trzeba im praktycznie pokazać, jak wygląda takie postępowanie. Miłości lepiej uczy jeden uśmiech lub pogłaskanie, niż najdłuższe perory. Łagodności uczy stała pogoda i wyrozumiałość rodziców. Pamiętać o innych umieją dzieci, o których pamiętają w domu.

Rzadko kto zdaje sobie sprawę ze ścisłej, podświadomej łączności jednej duszy ludzkiej z drugą. Z człowieka wychodzą jakby niewidzialne fale, które budzą w otoczeniu to samo, co w nim jest. Gesty nasze i wewnętrzne usposobienie nasze mają większą siłę od naszych słów. Jeżeli człowiek smutny wejdzie do pokoju, rzuca to cień na wszystkich, ten, kto ma na ustach prawdziwy, szczery uśmiech pogody, więcej zrobi dla rozweselenia obecnych, niż ten, kto będzie opowiadał zabawne historje z kwaśnym humorem. Wychowawca, stale ożywiony sympatją dla innych, stale uczynny i zgodny, nauczy dzieci tych cnót, nie nazywając ich po imieniu, nie perorując o nich wcale, nie nakazując ich i nie wzywając do naśladowania siebie.

Uczyć dobra można tylko praktycznie — wykonując dobro. U nas obłudnie wygłasza się przed dziećmi wzniosłe zasady, a w życiu uprawia się twardy, samozachowawczy egoizm. Dusza dzieci przyzwyczaja się, że są dwie moralności — dla nich i dla dorosłych. Widzi, że dorośli nie są w stanie wykonywać tego, czego wymagają od niego. Wpływa to najfatalniej na jego rozwój.

Ognisko domowe powinno być praktyczną uczelnią etyki, siedliskiem szczęścia i harmonji. Wychowywać dzieci, to znaczy bezustannie, do końca życia wychowywać samego siebie. *Hanna Zahorska*

KAZIMIERA ALBERTI

NIE WOLNO ZABIJAĆ ILUZJI

„Proszę wyprowadzić tę damę natychmiast, tu sala sądowa — a nie buduar". Te słowa wypowiedziała niedawno ostrym tonem w Nev-Yorku jedyna przedstawicielka świata kobiecego w roli sędziego — do pięknej oskarżonej, która w czasie rozprawy wyjęła misterny pudrownik, następnie pomadkę do ust i z pełną swobodą upiększała policzki i usta. Te elegantki, którym tak bardzo imponuje dezynwoltura Amerykanek, z oburzeniem powiedzą — (a jeśli nie powiedzą to z pewnością pomyślą) — że gdyby sędzią był... mężczyzna, zachowałby większą kurtuazję, a przynajmniej nie polecałby woźnemu wyprowadzać z sali pięknej oskarżonej, co najwyżej zauważyłby z ultra-dżentelmeńskim uśmiechem: „Pani raczy odłożyć te zagadkowe misterja do stosowniejszej chwili!"

Kwestję zapatrywań surowego sędziego w spódnicy pozostawiam do rozstrzygnięcia, a tymczasem... N i e w o l n o z a b i j a ć i l u z j i.

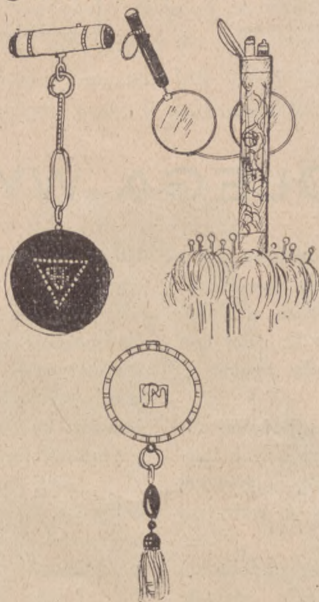
Że kobieta ma „żyłkę" do upiększania swej twarzy i postaci, wiedzą to wszyscy od początku świata, wie o tem niezrównany Makuszyński, który swoją prababkę Ewę niedyskretnie obmawia (niech Mu to dobry Bóg przebaczy!) — jakoby w raju krygowała się na *rendez-vous* z szympansem, czy też orangutanem, w braku innego męskiego objektu, łamiąc sobie głowę nad tem: coby też podniosło urok jej postaci? A że w ostatniej chwili jak *deus ex machina* zjawia się pomysł ogona, — to musimy zapisać to tylko na plus... genjalnej przedsiębiorczości kobiecej w doborze środków upiększających.

W Fenicji z odkrycia purpury musiały się najbardziej chyba cieszyć kobiety. Ewa — znów do niej wracamy — (nic dziwnego, świat się kręci naokoło tej osi) — zazdrościłaby z pewnością dzisiejszej kobiecie, że żyje w okresie szminki, — różowych, białych, żółtych pudrów, pomadek do ust i pachnących ołówków do brwi. Z drugiej strony, może i dzisiejsza kobieta z a z d r o ś c i ł a b y czegoś Ewie — ale o tem cicho, — bo zbyt głośno krzyczy się: „Precz z nagością".

Zaczynam wątpić, czy szminka kiedykolwiek nie istniała. Wszystkie kobiety Wschodu od najdawniejszych czasów znały doskonale sztukę charakteryzowania się, więcej, miały w tym celu specjalnie wyćwiczone i zręczne służebnice, posłuszne każdemu skinieniu kapryśnych pań. Przejdźmy potem rzymskie cesarstwo, średniowiecze, renesans, rokoko, w każdej epoce znajdziemy to samo. Zagniewajcie się „na śmierć" na mnie wszystkie starsze panie, szanuję was bardzo i kocham, ale doprawdy nie wierzę i n i g d y n i e u w i e r z ę w wasze powiastki o skromnych, surowych matronach, co to nie używały pudru, szminki i nosiły kołnierzyki na stalkach, wysoko zapięte pod szyję.

Przebaczcie mi, ale mnie zawsze porywa pusty śmiech, gdy opowiadacie o tych zacnych i skąd inąd godnych naśladowania matronach. (Cóż na to poradzę, wolę upudrować nos, gdy mi się świeci, i nie nosić kołnierzyków na stalkach, bo mnie gniotą.) Znamy wszyscy te stare „dawniejsze" matrony z portretów i fotografij; mają dekolty większe od naszych, nagie ręce, peruki na pół-metra w górę, twarze upstrzone od czarnych „muszek" i wykarminowane usta, a „skromność" ubrania zaznaczają metrowym trenem u sukni, brabanckiemi koronkami, całą masą niezliczonych falbanek, wstążek, kokard i dżetów. Zaprawdę używamy jeśli nie mniej to z pewnością i nie więcej szminki, — od naszych prababek — a ubieramy się d a l e k o s k r o m n i e j w suknie, które można uszyć za parę godzin (formy wysyła „Świat Kobiecy"!!)







Staję tu w obronie racjonalnie i u m i e j ę t n i e użytej szminki, ale n i e w o l n o z a b i j a ć i l u z j i.

Często widzimy na ulicy, w teatrze, kawiarni — jak jakaś elegantka wyjmuje pudrownik, pomadkę do ust i nerwowym ruchem „podkreśla piękność". Wynik tego? źle, krzywo namalowane usta, lub śmieszny plaster pudru np. na brodzie.

Takie pośpieszne „upiększanie się" robi na mnie zawsze wrażenie niedokończonej toalety, — to zupełnie tak, jakby któraś z pań kończyła zapinać stanik w salonie, bo przed wyjściem z domu nie mogła tego zrobić. Wszędzie się znajdzie jakaś garderoba, przedpokój, ciemny kąt w foyer — gdzie takie misterja mogą znaleźć miejsce. Uwierzcie — iluzja to jest piękna rzecz.

Są teraz w modzie krótkie włosy; panie wyjmują grzebyk z torebki, mały, niewinny grzebyczek i „przyczesują" włosy — zupełnie naturalnym, naiwnym ruchem — między jednym a drugim łykiem herbaty.

To jest „rzecz tak wzięta"!!

A propos tego miałam sen:

Na herbacie u państwa Iksów zebrało się większe towarzystwo, — a więc zwyczajny szablon, torty „świetne ciastka", kanapki i inne miłe sercu rzeczy. Nagle jakiś ,,obiecujący" albo lepiej ,,z przyszłością" młodzian wyciąga grzebyk i lusterko i z całą swobodą przyczesuje włosy. Wszystkie panie pobladły, szmer oburzenia przeszedł po salonie: ,,jakiż niewychowany", — ,,jak nam ubliża", — jak śmie coś takiego robić", — „nigdy nie myślałam, że taki gbur z niego", — ,,gbur?! — to zamało, — brutal, impertynent", — ,,tu w obecności kobiet", takie i tym podobne dyskretne epitety wychodziły z ust płci pięknej.

Połowa pań wyszła niedługo z salonu — niby nic — niby każda się z nich gdzieś śpieszyła — ale z takim uśmiechem, że ,,niech ten impertynent popamięta". Wogóle herbata u państwa Iksów była ,,pod psem".

Czasem niewinne sny tak nas ,,na złość" straszą.

OPIS BARWNYCH MODELI PARYSKICH, ZAŁĄCZONYCH DO TEGO NUMERU:

6730. Wytworna suknia wieczorowa z crêpe de Chine, tunika o wąskich linjach, obramowana futrem i cała ozdobiona haftem perełkowym.

6731. Elegancka suknia wieczorowa z crêpe de Chine. Tunika z czarnego velours-chiffon wycięta w zęby opada na spód z delikatnej srebrnej koronki, tworzącej nierówne końce. Plastron przy wycięciu ze srebrnej lamy.

KURS SZYCIA I KROJU

IV.



Rys. 24

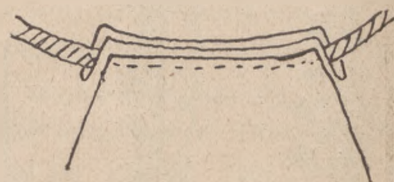


Rys. 25

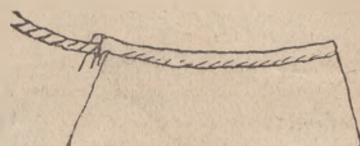


Rys. 26

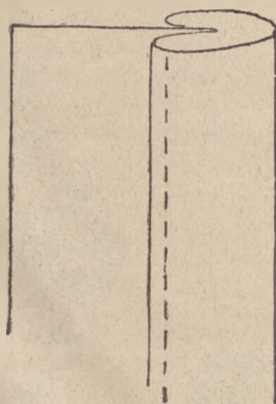
Najprostszym sposobem wykończenia jest listewka (rys. 24). Przyszywamy w tym celu pasek ukośny prawą stroną do prawej, potem wywracamy i fastrygujemy, założywszy brzeg paska. Przytem brzeg trzeba wyciągnąć, inaczej ściągnie się okrągłe lub owalne wycięcie (rys. 25). Na kraju wycięcia również trzeba fastrygować drobnemi ściegami. Po przyfastrygowaniu przyszywamy brzeg listewki jak obrąbek, przyczem staramy się chwytać jak najmniej materji, by ściegi po prawej stronie nie były widoczne. Elegantsze wykończenie uskutecznia się zapomocą paspoalki, np. odrębnego koloru. Wtedy wkładamy do ukośnego paska sznurek, w ten sposób, że jeden brzeg jest szerszy od drugiego (rys. 26). Pasek zeszywamy blisko przy sznurku. Potem przykładamy paspoalkę węższym brzegiem do prawej strony wycięcia i przyfastrygowujemy ją w szwie do materji (rys. 27). Następnie wywracamy paspoalkę i zawijamy szerszy brzeg pod spód. Przyszywamy go kryto, jak listewkę (rys. 28). Nasz model (rys. 13) można wdziewać przez głowę, lecz gdy chcemy go uczynić wygodnym do wkładania, możemy go zapinać na guziki, jak to uwidacznia rys. 13. W tym wypadku musimy węższą część przodu, na której umieścimy guziki, opatrzyć w listewkę zachodzącą pod drugą część przodu (rys. 29). Szerszą część przodu musimy z kraju umocnić szerszą listwą, gdyż na niej umieścimy dziurki (rys. 30). Listwę tę możemy z brzegu przystebnować. U dołu rozporu przyszyjemy szerszą część przodu z listwą na wystającą listewkę węższej części przodu, zaginając przytem listewkę do wnętrza (rys. 31).



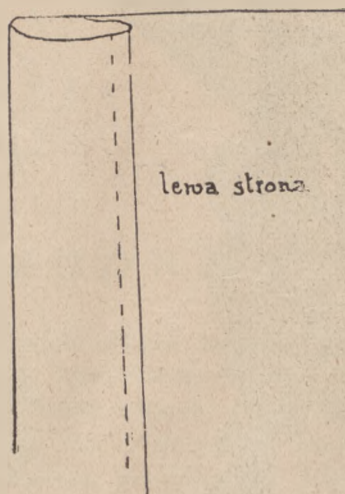
Rys. 27



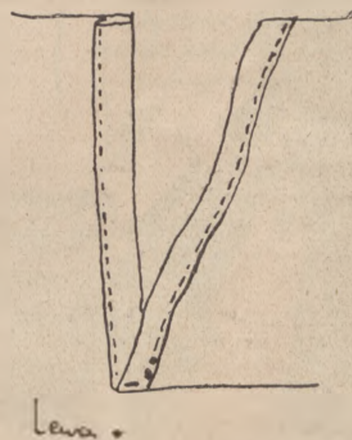
Rys. 28



Rys. 29



Rys. 30



Rys. 31

(ciąg dalszy w numerze 4-tym)

Opis do wzorów na 4 stronie okładki. Firanka względnie stora do sypialni, haft gipiurowy na białym lnianym batyście. Owalny motyw środkowy, trójkąty po bokach i koronka u dołu z siatkowej roboty, wstawki łączące całość klockowane. Rozmiar story 150 cm szerokość i $2^1/_2$ cm długość. Wzór może być z łatwością dostosowany na elegancką kapę na łóżko. — Druga firanka do jadalni lub męskiego pokoju, haft Richelieu na lekkiem lnianem płótnie. — Dwie poduszki z lnianego batystu, haft gipiurowy i angielski, inkrustacje z szytej koronki (w środku medaljon) i wstawek klockowanych i siatkowanych. Pierwszą zdobi falbana z marszczonej walansienki. Obie oprawne pomarańczowym jedwabiem.

Coś niecoś o piórach


1.


1a.


1b.


2


2a.


3

Przezorne panie nie wyrzucają niczego, więc znajdą napewne u siebie różne stare pióra, z których można jeszcze zrobić niejedną ozdobę.

Rys. 1 wskazuje fantazyjkę z zwyczajnych piór, której powstanie poznaje się z rys. 1 a i 1 b. Trochę trudniej zrobić wzór rys. 2. Kwiaty z aksamitu zszywa się z 6 części, rys. 2 a, i podszywa jedwabiem. Do każdego takiego kwiatu wkłada się rajerek i łączy wszystkie kwiaty w wiązankę. Fantazja rys. 3 złożona z rajera i pomponu ze strusiego pióra. Pompon robi się ze strusiego pióra, które przecina się ostrym nożykiem, rysunek 4, a następnie ujmuje w tasiemkę, rys. 5. Tak przygotowane pióro skręca się w pompon, lub przyszywa do różnych rzeczy, jak wskazują rys.: 6, 7, 8 i 9. Pompony i rozety ze strusich piór można zastosować w najrozmaitszy sposób: przy sukni, pantofelku, na kapeluszu lub kołnierzu futrzanym.


4.


5.


6.


7.


8.

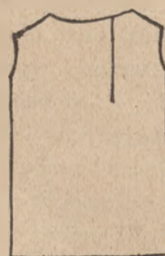

9.

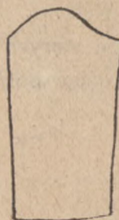
Strusie pióra wszechwładnie panują, służąc w najróżniejszych warjantach do ozdoby różnego rodzaju toalet

Jumper z sukna i włóczki lub jedwabiu

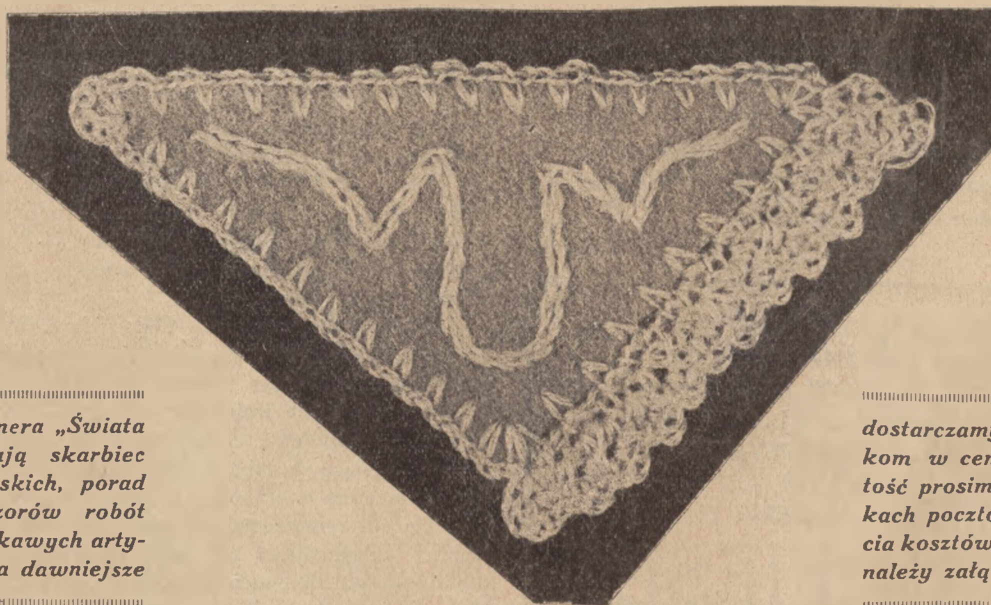
Pomarańczowe sukno, pocięte na trójkąty, dostarczyło materjału na nasz jumper. Biała włóczka harasówka służyła do zahaftowania trójkątów gałązką i do złączenia ich w całość. Gładki pas szydełkowany zakańcza jumper u szyi, dołem i u rękawów. Trójkąty obszydełkowuje się jednym niskim słupkiem, dwoma oczkami w powietrzu. Następne rzędy: 1 niski słupek w dziurkę z 2 oczek w powietrzu, 2 oczka w powietrzu, 1 niski słupek w tę samą dziurkę, 1 niski słupek w następną dziurkę, 2 oczka w powietrzu, 1 niski słupek w tę samą dziurkę i t. d. Trójkąty obszydełkowane trzema rzędami takich słupków układa się na kroju i zszydełkowuje z lewej strony. Wkońcu dorabia się gładkie pasy z niskich słupków.







Jumper może być zapięty z lewej strony u góry dla łatwiejszego wdziewania przez głowę lub zaopatrzony w dostatecznie duże wycięcie. Każdy materjał nie strzępiący się może być użyty w ten sposób.



Dawniejsze numera „Świata Kobiecego“ zawierają skarbiec przepisów gospodarskich, porad kosmetycznych, wzorów robót ręcznych, nowel, ciekawych artykułów i t. d. Numera dawniejsze dostarczamy naszym Czytelniczkom w cenie po 80 gr. Należytość prosimy przesyłać w znaczkach pocztowych celem uniknięcia kosztów zaliczki. Na przesyłkę należy załączyć 20 gr.

Czapka z futra

Z garniturów futrzanych kostjumu zostało trochę futra. Co z niem robić? Oto tę ładną czapeczkę! Lecz przedtem trzeba zszyć kawałki futra, kładąc je włosem do siebie i szyjąc przez wierzch, przyczem należy włosy wsuwać igłą do wnętrza. Następnie macza się gąbką lewą stronę futra i wyciąga je na desce zapomocą małych gwoździków. Gdy futro wyschnie, rysuje się krój ołówkiem i tnie ostrym nożykiem, uważając, by nie pociąć włosów. Formę sporządzoną z merli pokrywa się futrem podłożonem cienką wataliną i skrojonem tak, jak forma. Kresy robi się z ukośnego kawałka merli opatrzonego z dwóch stron w drut. Górny brzeg ściąga się lekko, dolny zagina się do wnętrza i przyszywa po pokryciu futrem i zapodszewkowaniu do główki. Z boku fantazja z piór lub wstążki. Podszycie z jedwabiu.







ZMODERNIZOWANIE SUKNI

Suknia (I) przerobiona z niemodnej (II) podług kroju (III). W miejscu, gdzie się znajdował nadcięty pasek, daje się wąziutkie zakładeczki naokoło. Boki sukni przedtem marszczone wycina się podług III w okolicy bioder i po zszyciu układa fałd z jednej strony do przodu, z drugiej do tyłu. Miejsce przyszycia tych fałdów pokrywa się wyłogiem. Rękawy wykrawa się ze starych rękawów, dodając potrzebną długość z szarf bocznych, mogą zresztą być krótkie. Przednie wycięcie zdobi się dwoma paskami materji lamowanej tak, jak wyłogi boków, pod niemi ukrywa się zapięcie.







OGRÓDEK W POKOJU

W połowie stycznia wysiać do paczek rośliny, które pomału rosną, a więc gloksinje, begonje, asparagus, medeolę, palmy etc. Długie gałązki wiśni, bzu, w pierwszych dniach stycznia postawione w słoiku z wodą w cieple, blisko pieca, gdy się je często skrapia, zakwitną.

Pilnować kwiatów pokojowych, delikatnie skrapiać codziennie rozpylaczem, liściaste myć mydłem, wodą letnią. (Mydło powinno być łagodne, nie żrące.) Przy końcu stycznia siać w paczkach primulę obcon., lwią paszczę. Pilnować wzeszłych siewek, sianych z początkiem stycznia. Nasiona, które jeszcze nie zeszły, utrzymywać wilgotno lecz nie zanadto, żeby nie zgniły.

Starannie pielęgnować azalje, kamelje, hiacenty, tulipany, filokaktusy, teraz kwitnące lub będące w pączkach.

Wazonki z pleśnią zielonawą oraz podstawki myć w wodzie z sodą, z mydłem.

Róże domowe zimować w nieopalanym, nieużywanym pokoju, mającym okna na zachód lub północ. Przez zimę 3 razy podlać. Z wyjątkiem „Maréchal Niel“, nie szkodzi różom 2—4° R. mrozu.

W pokoju, gdzie zimują róże, powinien wisieć termometr.

Sadzonkowana w jesieni nasturcja, kwitnie całą zimę w chłodne, słoneczne dnie.

Do przezimowania odpoczywających kwiatów doniczkowych doskonałą jest łazienka.

(C. d. n.) *Mewa*

REDAKCJA TROSZECZKĘ ROZCZAROWANA...

Niejedna z Czytelniczek zaintrygowana będzie powyższym tytułem. Pomyśli zapewne: „Chyba nie redakcja „Świata Kobiecego“, która obdarzona tak wielką sympatją i zaufaniem Czytelniczek do narzekania nie powinna mieć powodu“. A jednak mowa tu właśnie o tej, a nie o innej redakcji. Cóż to zaś za rozczarowanie, na które aż głośno wszem wobec redakcja się skarży? Pomyślcie, Panie, że idzie tu w dodatku o rzecz, która właściwie wcale do redakcji samej się nie odnosi i redakcję o żadną stratę materjalną nie przyprawia, która jednem słowem sprawiła jej ból podobny, jaki niegrzeczne dzieci matkom zadają.

Chcieliśmy w miarę sił naszych ułatwić Czytelniczkom naszym czytanie książek pięknych i pożytecznych.

Zdawałoby się, że ponieważ książka jest w kulturalnem społeczeństwie rzeczą nieodzowną, a utęskniona, a my jesteśmy społeczeństwem kulturalnem, a więc... że nasze Panie stęsknione są za książką i możność posiadania jej i rozkoszowania się lekturą powitają z entuzjazmem. Trudno przecież doprawdy wyobrazić sobie kulturalny dom bez szafki z książkami, a elegancką choćby najskromniejszą kobietę, nic zgoła całemi miesiącami nie czytającą.

I oto rozczarowanie... Ogłosiliśmy, że umożliwiamy naszym Czytelniczkom zakładanie „Bibljoteczek Świata Kobiecego“, do minimum zmniejszając wysiłek finansowy każdego członka. Sądziliśmy, że zdobywając się z naszej strony na bardzo duży wysiłek — udzielenie znacznego bezpłatnego kredytu — uszczęśliwimy tysiące kobiet, tych zwłaszcza, które los zmusza do spędzenia zimy zdala od wielkich miast.

Co się tymczasem okazało? Zgłoszeń o założeniu „Bibljoteczek“ otrzymaliśmy zaledwie kilka. Nie dużo to zaiste w stosunku do pięćdziesięciotysięcznej rzeszy naszych Czytelniczek. Nie wiemy, czem sobie to zjawisko wytłumaczyć — nie chcielibyśmy zaś czynić tego w sposób zbyt dla naszych Pań niepochlebny. Dlatego otwieramy na ten temat dyskusję w naszem piśmie. Prosimy Czytelniczki o łaskawe zakomunikowanie nam Swego zdania w tej sprawie, względnie o wyjaśnienie, z jakich powodów nie skorzystały z „Bibljoteczki Świata Kobiecego“.

Interesujące listy będziemy drukowali w „Świecie Kobiecym“, może nauczy się z tego niejednego sama redakcja, może wyjaśni się, że cała ta sprawa, która „Świat Kobiecy“ tak zasmuciła, polega tylko na jakiemś wielkiem nieporozumieniu lub niezrozumieniu.

A zatem czekamy...

Redakcja „Świata Kobiecego“

DOBRA GOSPODYNI

Menu:

Zupa rumiana a la Julienne i barszcz czysty.
Majonez z kapłonów.
Polędwica z garniturem. Pekefleisz na gorąco.
Szczupak w całości z sosem koprowym.
Pasztet z kuropatw we francuskiem cieście.
Groszek, marchewka, jarmuż z garniturem z grzanek, móżdku ciastek.
Sarna i zając, sałaty mieszane i kompoty.
Marengi z kremem.
Galareta malinowa, blanc manger migdałowe i cytrynowe.

Tort piaskowy (może długo stać). Pół litry klarowanego masła ucierać wałkiem na śmietanę przez pół godziny, następnie dokładać po jednemu 12 żółtek i funt cukru miałkiego. Pół funta krochmalu ryżowego lub pszennego zwyczajnie utłuc, przesiać przez sito i wymieszać z pół funtem mąki kartoflanej. Ubić pianę z owych dwunastu białek i gdy masło z żółtkami i cukrem doskonale wymieszane, dokładać po łyżce ubitej piany i po łyżce mąki, ciągle mieszając, aż wszystka mąka i piana wyjdzie; na ostatku wlać kieliszek araku, wsypać laskę tłuczonej, przesianej wanilji, którą tłuc bez cukru, bo się najlepiej przetłucze i dopiero do siania wymieszać z cukrem, całą masę raz jeszcze wymieszać dobrze i włożyć w formę lub cienki miedziany rondel, masłem klarowanem wysmarowany i zaraz wstawić w gorący, jak na baby, piec, gdzie stać powinien całą godzinę. Po ostudzeniu wyjąć i polukrować przeźroczystym lukrem, który zaraz uschnie, jeżeli go się poleje na gorące ciasto. Tort taki trwa dziewięć tygodni i jest b. smaczny.

Kaszka krakowska na grzybowym smaku. Trzy ćwierci litra krakowskiej kaszki zatrzeć jednem całem jajem (to znaczy wymieszać należycie jaje z kaszką), wysuszyć tę kaszę, mieszając często, a gdy się potworzą grudki, porozcierać. Ugotować dwadzieścia pięć deka grzybków suszonych, obmytych w letniej wodzie, osolonych, z jedną cebulą i trochę związanego kopru z pietruszką zieloną w półtora litrze gorącej wody. Gdy grzyby już ugotowane, odlać na durszlak, puścić na maszynkę dwa razy, połowę dać do rynki i nalać na nie smaku grzybowego (połowę zaś smaku, jak grzybów, zostawić do sosu), dać siekanej zielonej pietruszki i kopru, cztery do pięć łyżek masła, soli do smaku. Gdy się zagotuje, zasypać na ten smak kaszę wysuszoną, mieszając bez przestanku, gdy już kasza w siebie wsiąkła (to jest zgęstniała), nie mieszać jej już, lecz dać na ruszt (na niebardzo ostrą kuchnię), nakryć szczelnie, niech się praży. Po dziesięciu minutach zamieszać umiejętnie, to jest od spodu podnosić do wierzchu, aby nie pognieść, ale aby sypka była. Gdy kasza już miękka, dać do ormy, zacisnąć i wyrzucić na półmisek okrągły. Do środka sos grzybowy, do sosu zaś, jeśli kto lubi, mogą być dodane grzybki krajane na maszynie lub szatkowane nożem wedle upodobania i własnego smaku.

Legumina sagowa z czekoladą. Litr mleka słodkiego zagotować, zasypać na tem mleku piętnaście deka dobrego saga, mieszając często, po zakipieniu włożyć łyżkę młodego masła, postawić na asbestowej podkładce i prażyć aż do miękkości. Wtedy wyłożyć, ucierać mocno z dwunastoma łyżkami cukru, dodając po dwie, następnie wsypać ośm deka tartej czekolady lub w braku tejże pięć łyżek kakao, wbić pięć żółtek, wymieszać wszystko razem, ubić pianę z pozostałych białek, zmieszać z masą poprzednią, dosypać trzy łyżki przesianej tartej bułki i nieco zapachu wanilji. Wlać tę masę do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką rynki i upiec w bratrurze. Na wydaniu obsypać cukrem z wanilją i ubrać konfiturami. Gdy się tę masę ugotuje w formie budyniowej w parze, może być jako budyń, ale wtedy budyń ten należy podać z podlewą czekoladową. Podlewę tę zrobić w ten sposób: Pół litra mleka słodkiego (a jeszcze lepiej lekkiej śmietanki) zagotować z kawałkiem wanilji, rozbić trzy całe jaja z trzema łyżkami cukru, czterema utartemi tabliczkami czekolady, jedną małą łyżeczką kartoflanej mąki i zalać to wszystko kipiącem mlekiem, bijąc miotełką na gorącej kuchni. Gdy nieco zgęstnieje, polać budyń i wydać do stołu.

Farbowanie piór odnośnie do artykułu „O piórach".

Przed ufarbowaniem piór należy je naprzód starannie oczyścić, a potem wybielić, dla usunięcia z nich wszelkich tłustych i zabarwiających materyj. Przy farbowaniu piór na czarno, poprzednie bielenie byłoby zbytecznem. Pióra naprzód wkłada się do letniej kąpieli mydlanej, zrobionej z jednej części mydła na dziesięć części wody (na wagę); po wyjęciu z pierwszej kąpieli mydlanej, wkłada się do drugiej, przygotowanej takim samym sposobem. Oczyszczone pióra płucze się w czystej wodzie, potem się bieli przez siarkowanie, wyżej podanym sposobem. Po wyblichowaniu, płucze się znowu i suszy. Na czarno farbuje się pióra za pomocą koperwasu, ałunu i odwaru niebieskiej brazylji; na żółto w różnych odcieniach curem ołowianym (octanem ołowiu) i chromianem potażu; na czerwono, fioletowo i niebiesko odpowiedniemi anilinowemi farbami, które przystają do piór równie dobrze jak do wełny i jedwabiu. Pozostają w farbie, która nie powinna być zbyt gorąca, tak długo, dopóki farba dobrze się nie przyjmie. Po ufarbowaniu pióra wymyć, wysuszyć i ufryzować, ta ostatnia czynność uskutecznia się za pomocą gładkiego, rogowego nożyka.

Bigosik z pozostałej pieczeni (na gorąco, — na kolację, do odgrzania). Pieczeń, lub nawet mięso z rosołu, pokrajać w zgrabną kostkę. Tymczasem usmażyć tłustą, żółtą zapraszkę, rozebrać rosołe… lub wodą z maggi, wrzucić parę szatkowanych winnych jabłek, troc… octu wlać, nieco posolić, dać mięso, zagotować, a jeśli sos za kwaś… dać trochę cukru.

Zamiast jabłek, mogą być ogórki kwaszone, w cienkie talarki pokrajane.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad w sprawach kosmetycznych i g… darskich i w kwestjach sztuki indywidualnego ubierania się.

Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W … możności prosimy podawać swój adres.

Dzidzi O. Jeśli wybiera się Pani z Córką na bale, sto… będzie dla Pani toaleta model nr. 6026 z nr. 1-go naszego pism… terjał najstosowniejszy *velour chiffon* lub *crêpe satin*, przód … Motyw można sporządzić samej wedle wzoru, jaki przyniesie n… Najstosowniejszy kolor ametystowy (fioletowy b. modny jest t… nawału!), zawsze stosowny jest czarny, może być dla Pani … b. do twarzy kolor bronzowy w jaśniejszym odcieniu. Proszę … próbować do twarzy przy świetle sztucznem! Brak rękawów niech … nie zraża, — obowiązuje on dziś powszechnie nawet na popoł… A zresztą w dzisiejszych czasach kobiety czterdziestoletnie są j… całkiem młode.

Odpowiedni byłby również model nr. 6019, koniecznie z …

Wzory haftu perełkami i innych ozdób sukien wieczorowych … niesie nr. 2-gi. Motyw, wybrany przez Panią, może ostatecznie być paciorkami wyhaftowany na sukni — choć nie jest najodpowiedniejszy.

Dla panienki 19-letniej na wieczorek odpowiednia suknia fularowa wedle modelu 6017 lub 6041.

TREŚĆ NUMERU 2-go:

UCZMY NASZE DZIECI OSZCZĘDNOŚCI!

9838 ZŁOTYCH

zapewnisz swemu dziecku, jeżeli przez lat 10 będziesz składała **na 12% rocznie** na książeczkę

W MIEJSKIEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE, UL. WAŁOWA L. 9

co tygodnia po 10 zł.

Informacje i czeki P. K. O. przesyła Kasa na każde żądanie

260—1—24

DR. WŁADYSŁAW HOJNACKI

HIGJENA KOBIETY I KOSMETYKA

Wydanie czwarte przerobione z 48 ilustracjami

TREŚĆ:

I. **Wychowanie** (wychowanie ogólne, fizyczne, małżeństwo)
II. **Życie codzienne** (odżywianie, ubranie, mieszkanie, sen, praca)
III. **Piękność** (Zasady i wymiary, Skóra, Piersi, włosy, zęby, oczy, nos, ręce, nogi, Kultura ciała w wieku dziecięcym, Zapobieganie starzeniu się, Usuwanie najczęstszych zmian i wad kosmetycznych, Właściwa kosmetyka, Codzienna toaleta)
IV. **Macierzyństwo** (Anatomja i fizjologja, Regularność, Ciąża, Poród, Połóg, Wiek przejściowy).

Książka ta stanowi nieocenione źródło wszelkich porad dla wszystkich kobiet dbających o zdrowie, piękność swoją i swych córek.

Egzemplarz broszurowany zł 6·— W pięknej, trwałej oprawie zł 8·—

Dla zaoszczędzenia znacznych kosztów zaliczki prosimy z góry przesyłać należność, łącznie z kosztami wysyłki 1·— zł.

Księgarnia Polska B. Połonieckiego we Lwowie



MASZYNY DO SZYCIA

„SINGER"

Własne magazyny we Lwowie:

1) przy placu Bernardyńskim L. 12
2) „ ulicy Leona Sapiehy L. 24

SPRZEDAŻ MASZYN DO SZYCIA:

dla użytku domowego i celów przemysłowych, ręcznych, nożnych i elektrycznych, części zapasowych do maszyn, igieł, nici, oliwy i innych artykułów.

WARSZTATY REPERACYJNE

przy magazynach. Reperacje szybkie i akuratne, po cenach umiarkowanych.

KURSY ARTYSTYCZNEGO HAFTU

odbywają się w magazynie przy placu Bernardyńskim 2.

Spółka Akcyjna:

SINGER SEWING MACHINE COMP.

261—1—23

KARNAWAŁ W POLSCE

Album tańców narodowych, salonowych i innych

Album ozdobnie wydane, zawiera dwadzieściasześć utworów na fortepian — w łatwym układzie. Cena zł 2·40, z kosztami przesyłki zł 2·70

Wroński Adam **„Na falach Wisły"** Walc. Auber Maurycy **„Marzenie"** Walc. Barness **„Przeznaczenie"** Węlc. Wroński Adam **„Konwalie"** Walc. Straus Józef **„Jaskółka"** Walc. Auber Maurycy **„Helusia marzy"** Walc. Joice Archibald **„Dreaming"** Walc. Tymolski F. **„Rozetka"** Polka francuska. Strauss Józef **„Serce Kobiet"** Polka mazurka. Tymolski F. **„Kalina"** Polka mazurka. Offenbach J. **„Życie paryskie"** Galop. Strauss Józef **„Bilecik"** Polka szybka (Galop.) Tymolski F. **„Hej z góry"** Mazur. Wroński Adam **„Grajże grajku"** Mazur. Tymolski F. **„Przy kądzieli"** Krakowiak. Tymolski F. **„Bidu sobi kupyła"** Kołomyjka. Offenbach J. **„Eugenja"** Lancier. Tymolski F. **„Chałupeczka nizka"** Kadryl. Czibulka Alfons **„Chaconne"**. Hamber Marjan: **„Hala"** Twostep. **„Jedynaczka króla smalcu"** Foxtrot. **„Mister Rubinstein"** Onestep. Hamber Marjan **„Irena się dąsa"** Onestep. — **„Oriental"** Onestep — **„Tango Argentyńskie"**. **„Pas d'Espagne"**.

Magazyn nut Połonieckiego Kl. Tanskiej 1

BAJECZNY ALBUM MÓD DZIECINNYCH

L' ENFANT

Wiosna i lato 1925

24 stronic, z których 12 w artystycznem wykonaniu kolorowem, przeszło 150 modeli, z dużym arkuszem krojów

Cena tylko 2 zł

Administracja „Świata Kobiecego", Lwów, Chorążczyzna 29, wysyła album ten P. T. Prenumeratorkom franko, bez policzenia przesyłki, o ile nadeszlą gotówkę przy zamówieniu

HERBATĘ

w najlepszych gatunkach

poleca

EDMUND RIEDL

Lwów, Rutowskiego 3

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27
Skład Redakcji: **Janina Łada-Walicka, Wanda Tomaszewska.** Roboty ręczne: **M. Geszwindowa**
Z drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego



DRUK OFSETOWY PILLER-NEUMANNA LWÓW.

ŚWIAT KOBIECY
(REKORD)
Dodatek do nru 2 r. 1925

6730

6731